

POGLĄD TYGODNIOWY

ŻYCIA SPOŁECZNEGO LITERATURY I SZTUK PIĘKNYCH.

Warszawa d. 20 Sierp. (1 Wrześ.) 1878.

N^o 35

Serya piąta.—Rok trzynasty

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 6,—półrocznie rs. 3,—kwartalnie rs. 1 kop. 50—miesięcznie kop. 50. Redakcyja i Ekspedycyja główna: ulica Czysta N^o 415 (nowy N^o 2).

Każdomiesięcznie jako premium dołącza się jeden tom powieści lub utworów popularno-naukowych, oraz przy każdym numerze arkusz dzieła „Panteon wiedzy ludzkiej.”

Prenumerata na Prowincyi:

Rocznie rs. 8,—półrocznie rs. 4,—kwartalnie rs. 2.
W Austrii, we Lwowie: w księgarni Richtera, cena roczna 14 guldenów;—w W. Ks. Poznańskim u M. Leitgebera 8 talarów.

SPIS ARTYKUŁÓW: Rosyja i Niemcy. — Łatwa do Unii, przez autora „Poglądu na literaturę polską.” — Stronictwa w społeczeństwie, przez Feliksa Bogackiego. I.—Państwo de la Roche, przez Emila Zola. — Międzynarodowy kongres monetarny. — Kongres leśny. — Muzeum historyczne na Trocadero. I.—Zabójstwo Generała Mezencowa. — Kronika Powszechna. — Przegląd Polityczny. — Wiadomości handlowe. — Do wszystkich. — Echa XXXV.

ROSSYA I NIEMCY.

Toczy się między półurzędową prasą niemiecką a rosyjską prywatną żywa polemika: cierpki owoc tego niezadowolenia, jakie wywołał traktat berliński w poza dyplomatycznych kołach rosyjskich. Nie da się istotnie zaprzeczyć, iż różnica rezultatów osiągniętych na mocy aktu stworzonego przez generała Ignatiewa a dokumentu wyszłego z pod redakcyi dyplomatów zebranych w byłym pałacu Radziwiłłowskiem—jest bardzo wielka. Różnicę tę oceniać należy nie miarą mniejszych lub większych nabytków terytoryalnych, taką lub inną formą pewnych na półwyspie Bałkańskim urzędzeń, ale wielkością wpływu który Rosyja za pomocą San-Stefańskiego lub Berlińskiego traktatu na wschodzie zyskała. Cała faza obecnych wypadków jest przejściową, jak to zaznaczył najbardziej urzędowy dziennik rosyjski; obecny pokój będzie dniówką w sprawie wschodniej, której obecny kształt nie jest ostatecznym rozwiązaniem; ale niemniej rzecz to bardzo ważna, jakie stanowisko na mocy umów regulujących wojnę, wytworzyć sobie zdołała Rosyja i jak się przedstawiają stosunki, wśród których trzeba będzie rozegrać ostatnią partję nad Bosforem. Traktat San-Stefański stawiał Rosyję w bezpośrednim stosunku do Turcyi; dwa państwa walczące zawierały umowę która zwyciężone poddawała wpływom zwycięzcy, usuwając przy tem wszelkie pośrednictwo Europy. Sama egzekucyja warunków takiego pokoju nadzwyczaj uproszczona, byłaby początkiem politycznej akcyi bezpośredniej i w skutkach dla Rosyji płodnej. Nawet równoległe działanie rozkładowe na Turcyę wywarłe przez Austryę, nie byłoby skutków tej bezpośredniości zwichnęło, jak tego dowodzi misya gen. Sumorokowa. Kongres berliński nie tylko że ograniczył pierwszorzędnie ważną dla Rosyji sprawę bułgarską do tej strony Bałkanu, ale co najważniejsza, wprowadził na nowo do kwestyi wschodniej pośrednictwo całej Europy, podając pod jej decyzyę paragraf po paragrafie San-Stefańskiego traktatu. Turcyja powalona do nóg zwycięzcy odzyskała siłę, dotknąwszy się interesów jakie stara Europa ma na półwyspie Bałkańskim lub w Małej

Azji, jak ów olbrzym, który zawsze odzyskiwał moc, skoro się dotknął matki Gei — ziemi. Wszędzie bezpośrednio rosyjskiego wpływu, traktat berliński zastępuje wpływem europejskim: w Bułgaryi z tej i tamtej strony Bałkanu, w Armenii, w Serbii, Grecyi regulują sprawy komisye europejskie—zamiast komisarzów rosyjskich, że już pominiemy znane stanowisko jakie zajęła Anglia przez obsadzenie Cypru i zaczętno-odporny traktat z Turcyją, oraz Austryja, która zajmuje Bośnię i Hercegowinę na mocy mandatu Europejskiego, kiedy tego nie chciała zrobić mając sobie bezpośrednio ofiarowane przez Rosyję. Gdy weźmiemy tylko najbliższy skutek: opór jaki Turcyja na każdym stawia kroku w wykonaniu warunków pokoju berlińskiego, oraz nadzwyczaj trudną i drażliwą egzekucyę, gdyby Porta spełnienia pewnych punktów stanowczo odmówiła — to łatwo możemy się przekonać jak rdzennemu w Berlinie przekształceniu uległa sytuacya, stworzona w San-Stefano. Po długich usiłowaniach, po kosztownej i morderczej wojnie, gdy Rosyja zabierała się do zebrania plonów, nie tylko że jej większej ich części odmówiono, ale zebranie reszty w przyszłości postawiono w tych samych warunkach trudnych, niebezpiecznych — jakie rozwiązanie kwestyi wschodniej dotąd uniemożliwiały. Rosyja spotkała się tu znowu oko w oko z interesami Europy, które są diametralnie przeciwległe jej dążeniom.

Kto temu winien? Czy istotnie stanowczość lorda Beaconsfielda i groźba wojny z Anglią, czy konszachty hr. Andrassego i starcie się z Austryją — były powodem ustępstw dyplomacyi rosyjskiej, które głośno zaznaczył na jednym z posiedzeń ksiądz Gorczaków? Opinia publiczna w Rosyji osądziła że... nie. Wojna z samą Anglią nie może być dla państwa Rosyjskiego groźną; straty jakie Rosyja przez zniszczenie jej morskigo handlu może ponieść, są ostatecznie mało ważne; walka w Azji jest dziełem przyszłości, bo obecnie przeciwnicy rozgraniczeni czterysto-milowemi pustyniami, nie mają punktu zetknięcia i co najwyżej mogą się ścierać dyplomatycznie; do prowadzenia walki w Małej Azji podobno już upłynęła pora i tam obie strony dziś już tylko odporne stanowiska zatrzymywać będą; walka w Europie ograniczy się tylko do Konstantynopola i twierdz Dardanelskich, a komu

by skinał łaskawem okiem bóg wojny przewidzieć trudno. Niebezpieczeństwa więc dla Rosyji od strony Anglii rozpoczynają się dopiero wtedy, gdy do akcyi przystępuje Austryja lub inne jakie pierwszorzędne militarne państwo Europejskie. Ale w obecnem położeniu naszej części świata, mogło to mieć miejsce wtedy tylko gdyby pozwoliły... Niemcy. Czyli, innymi słowy, Niemcy trzymały klucz sytuacyi, od nich zależał taki lub inny obrot rzeczy, im więc właściwie należy przypisać autorstwo tego wszystkiego co się na kongresie berlińskim działo. Samo zebranie się kongresu Niemcy spowodowały, bo do tego zmusiło Rosyję ich zachowanie się; był to punkt wyjścia z którego wypłynęły już logicznie dalsze ustępstwa, tak niekorzystnie zmieniające traktat San-Stefański. To, że Niemcy stawały na kongresie w obronie różnych szczegółów, że wyjednały tu i owdzie coś korzystnego na stronę Rosyji — położenia nie zmienia, bo jak powiedzieliśmy wyżej, nie o szczegóły, ale o zasadnicze punkta sytuacyi chodzi.

Taki wniosek wyprowadziła opinia i niezależna prasa rosyjska z toku rzeczy, jakie stworzył kongres berliński. To też jeżeli słowa kanclerza Niemieckiego o beati posidentes, znalazły poklask w całym społeczeństwie rosyjskiem, postawa ks. Bismarcka przy zebraniu i podczas obrad kongresu nie wzbudziła sympatyj, a nawet wywołała oskarżenie o brak szczerego wychodzenia, o niewdzięczność za oddane Niemcom przez Rosyję usługi. Naturalnie, im bardziej rosło niezadowolenie opinii rosyjskiej z prac kongresowych, tem oskarżenia sypały się gęściej i tem mocniej nastawano na dwójznaczne postępowanie Niemiec. Wywołało to potrzebę odpowiedzi i ministeryalne dzienniki niemieckie, z mniejszą może niż sytuacya wymagała zręcznością, dały prasie rosyjskiej do zrozumienia, iż Niemcy oddaniem w ostatnich czasach usługami, wyrównały rachunek, jaki na nich ciążył względem Rosyji od czasu franko-pruskiej wojny. Trzeba przypuścić, że podobne odezwanie się było tylko częstym w Niemczech wyskokiem prasowym, gdyż nie odpowiadając istocie rzeczy, miało to tylko następstwo, że dorzuciło materiału palnego do polemiki zajmującej prasę obu narodów. Wkrótce też spostrzegła błąd ministeryalna prasa niemiecka i najwybitniejszy jej organ zapewnił, tym razem zgodnie z naturą rzeczy, iż

wzajemna przyjaźń między Niemcami a Rosyją, oparta jest na tak trwałych podstawach, iż wszelkie polemiki dziennikarskie lub usiłowania niechętnych stronnictw, pozostaną bezskuteczne. Spostrzeżenie jednak z punktu prasowego zrobiono za późno, gdyż dzienniki rossyjskie dość ironicznie ten nowy zwrot organów z nad Szprei komentują. „Austria przestała być „das vielumworbene Land Europa's“ jak się dumnie nazywała w ciągu trzech lat ostatnich sprawy wschodniej. Sądząc ze wszystkiego, nazwa ta wkrótce dostanie się Rosyji. Zresztą początek tego zwrotu został już zrobiony i oto niektóre w tym względzie oznaki. Urzędowa prasa niemiecka, traktująca nas w wysoko-protekcynnym tonie przez cały okres naszych trudności, obecnie poczyną usprawiedliwiać się przed nami i to służyć może za niewątpliwy dowód, iż Niemcy dzięki swym wewnętrznym trudnościom, czują konieczność zbliżenia się do swego sąsiada, którego lekceważyły, gdy on potrzebował pomocy.“ „Inaczej w samej rzeczy byłoby trudno objaśnić zapewnienia niemieckiej prasy o sympatyach Germanii względem Rosyji. Jeżeli człowiek chłodno lub wrogo usposobiony nagle staje się dla nas czułym, zrywa się niespodzianie do uścisków i pocałunków, to dobrze jest mieć się na baczności i hermetycznie zamknąć kieszeń, przeciwko której wymierzony jest jakiś zamach. Zjawisko to daje się spostrzegać i w międzynarodowych stosunkach.“

„Jeżeli niemiecka prasa urzędowa nagle uważa za potrzebne przypomnieć nam, iż polityka niemiecka w okresie ubiegłych przesileni stała się przyjazną Rosyji i współdziałała w jej powodzeniach; jeżeli z niezwykłą uroczystością oświadcza, że przyjaźń Germanii względem Rosyji opiera się na zbyt trwałej podstawie, ażeby napaści gazet i usiłowania partji mogły ją wczemkolwiek naruszyć—to powinniśmy się strzedz. Niemcy nie darmo wywnętrzają się ze swymi czułościami i zapewnieniami przyjaźni. Nie możemy powiedzieć, aby przyjaźń niemiecka przyniosła nam szczególną korzyść w okresie tylko co przeżytego ciężkiego wojennego i dyplomatycznego kryzysu. Mieliliśmy prawo oczekiwać od Niemców wiele, lecz nie otrzymaliśmy prawie nic od nich.“

„Wprawdzie więcej szczerzy Niemcy nie przeczą faktowi niekoniecznie przyjacielskich stosunków Niemiec do Rosyji w cza-

sie ostatniego kryzysu (jak to czynią gońcy kanclerscy z Wilhelmstrasse), lecz usprawiedliwiają to krytycznym wewnętrznym położeniem cesarstwa Niemieckiego, nie dozwalając pomagać Rosyji z obawy przyłączenia sobie wrogów. Lecz cóż to za przyjaźń, która nie może wytrzymać próby pierwszej potrzeby? Cóż to za przyjaźń, co lekko się cofa przed wszelką choćby najmniejszą ofiarą. Zresztą oczekiwaliśmy czegoś podobnego, przewidzieliśmy to wcześniej. Jeżeli książę Schwartzberg onego czasu wyobrażał sobie, iż zadziwi świat niewdzięcznością, to książę Bismark nie może tego o sobie powiedzieć. Przynajmniej swą niewdzięcznością nie zadziwił Rosyji.“

Tak się odzywają Nowosti, a jest to przeciwna opinia wszystkich dzienników rossyjskich, tylko wyrażona umiarkowanie, gdy inne organa o wiele silniej manifestują swe rozdrażnienie do Niemiec. Czyżby więc rząd należało wywnioskować, że opinia publiczna w obu krajach odwraca się od ścisłego sojuszu między Niemcami a Rosyją, sojuszu który był głównym klejem tak zwanego trójcesarskiego związku i podstawą całej Europejskiej polityki od początku bieżącego wieku? Byłby to fakt doniosły i tak głębokie prowadzący zmiany w świecie, iż znamionujących go zapowiedzi, nie w dziennikarskich szarmyślach, ale w czynach szukaćby należało. Niewątpliwie zerwanie, a choćby tylko osłabienie przyjaźni niemiecko-rossyjskiej, byłoby dla wielu społeczeństw gorąco pożądanem; wiele narodów słowiańskich dziś przewagą niemiecką przygniecionych, słusznie czy niesłusznie widziałoby w tem bardzo pożądanym obrocie rzeczy; wielu polityków pracuje w skrytości, aby ten cel osiągnąć—ale własnych chęci, bez złudzeń, nie trzeba brać za fakt rzeczywisty.

Ktoby chciał na różnicy między Niemcami a Rosyją budować swą politykę, wkrótceby się przekonał, że stawia domy z kart na lotnym piasku. Był okres, kiedy nawet bardzo poważni ludzie, jak członkowie gabinetów francuzkich, oddawali się złudzeniom, iż między Rosyją a Niemcami kiedykolwiek objawi się różnica,—i licząc na nią stosownie kierowali swą polityką. Okres ten jednak zdaje się należeć do niepowrotnej przeszłości, a prosty, zdrowy rozum objaśnia, dla czego podstawa stosunku Rosyji do Prus-Niemiec jest tak niewzruszonej natury. Co do nas, jesteśmy przekonani, iż w przyja-

znym stosunku obu państw, na Niemcy przypada lwią część korzyści, lecz choćby uczucie strat było jeszcze silniejsze w Rosyji niż jest obecnie, w niczemby to nie zmieniło biegu rzeczy. Dla czego? Bo takie, jak obecne położenie, oparte jest na możliwie najwyższych wspólnych korzyściach. Niemcy, jak zauważył Moltke, nie mają ani jednego przyjaciela, ale mogą i potrzebują mieć w sferze politycznej spółników; nikt zaś nie jest tak doskonałym dla nich współnikiem jak Rosyja—i odwrotnie, ta ostatnia nigdzie nie znajdzie większe zyski dającego kompana nad Niemcy. Od 1861 r., a ściślej mówiąc, od chwili dyplomatycznej akcyi trzech mocarstw zachodnich, która tak haniebnym znalazła koniec w sławnej nocy ks. Górczakowa, wzmożyły się dawne związki między Prusami a Rosyją.

Niemcy, które oddały wtedy wschodniemu sąsiadowi usługę nader cenną, zostały wspaniale wynagrodzone, tak w czasie wojny austriackiej jak i francuzko-pruskiej; nawzajem zaś poczuwały się do żywej wdzięczności, o ile to leży w ich interesie i charakterze, podczas ostatnich wypadków. Trzeba przyznać, iż bądź co bądź wyniki wojny tureckiej wcale są pokazne dla Rosyji, a byłyby ostatecznie niemożliwe, gdyby nie Niemcy. O tem zarówno wiedzą dyplomacya jak i oba społeczeństwa, a spory te są jak kłótnie małżeńskie między najlepiej dobranej zdarzające się stadłem. Lekkie zmarszczki nieukontentowania nie grożą rozwodem, bo obaj małżonkowie najmocniej są przekonani, że im nigdy i nigdzie lepiej nie będzie, jak z sobą. Moglibyśmy faktami historycznymi dowieść, iż to wiara nie dzisiejsza. Cesarz Aleksander I niejednokrotnie był stawiany już to siłą wypadków, już to popędami własnych gustów, do przeciwdziałania polityce niemiecko-pruskiej, zawsze jednak tak własne sympaty jak i widoki, poświęcił na ołtarzu przywierza rossyjsko-pruskiego. Z takimi faktami w sądach swoich trzeba się rachować, jeżeli opinia publiczna ma sobie zdawać rozumnie sprawę z różnych objawów polityki bieżącej.

Niewątpliwie, żadna kombinacya nie byłaby tak płodną w następstwa, jak niezgoda między Rosyją a Niemcami, niewątpliwie żadna godzina nie jest wyczekiwana gorzej od wielu, jak ta, któraby była ostatnią godziną przyjaźni niemiecko-rossyjskiej—ale

ECHA WARSZAWSKIE.

XXXV.

Wojska rossyjskie wracają z wojny.

Telegramy rozniosły już nawet wiadomość o punktach ich wylądowania i drogach, któremi się po obszernem państwie owe półki rozjadą. Niezawodnie w stolicy Cesarstwa oczekiwać je będą radosne przyjęcia, posypią się festyny, zabawy i po trudach kampanii nastąpi wywczas słodki. Tak, pewno—lecz nie należy zapominać, iż po za tą dekoracyą kryją się zwykle i długo nieuleczalne skutki, jakie każda wojna koniecznie za sobą pociąga. Wiele rodzin, których podpory i żywicieli z karabinem na plecach wywędrowali za Dunaj, doznały nędzy lub doznają jej jeszcze więcej, skoro nie wróci wojak śpiący pod białym śniegiem Szybki lub różami Kazanlyku. Dzienniki Cesarstwa bez złudzeń ujawniają ciągle, iż nędza wielu tysięcy rodzin włościańskich, mocno się wzmożła skutkiem wojny, skutkiem osierocenia.

Dla zaradzenia temu niemal w każdej okolicy zawiązują się komitety opiekuńcze nad sierotami i wdowami po poległych żołnierzach w Bulgaryi i Rumelii. U nas nędza

także zapewne musiała te klasy dotknąć srogo. Tylko skutkiem niezaradności naszego dziennikarstwa, nie lubiącego dotykać tego rodzaju kwestyj, mniej się ta nędza przez głos publiczny ujawnia. Trzeba nam jednak na tę sprawę patrzeć po prostu, jak na rzecz dobroczynności: rodacy nasi dotknięci nieszczęściem, oto i wszystko! O ile nam wiadomo, miały się potworzyć jakieś komitety opieki nad wdowami i sierotami—czy się potworzyły? Czytaliśmy niedawno dość dzwaczny projekt podobnego stowarzyszenia dla gubernii Łomżyńskiej... snąc więc sprawa jest w robocie. Lecz dla czegoż o niej tak cicho, dla czego prasa w tym względzie nie podnosi głosu za nieszczęśliwymi, dla czego nie korzysta z prawa krytyki działań komitetów, gdzie one powstają lub istnieją. Ponieważ u nas wyłączności nie ma i wszystkie klasy mogą uczestniczyć w dziele dobroczynnym, ulgę dotkniętej ludzkości na celu mającym. Tylko żywszego trzeba zajęcia, bo jak to z doświadczenia wiemy, lepiej ażeby sprawa szła z naszym udziałem, niż bez nas, choć za nasze pieniądze. Szpalty *Przeglądu* w tej kwestyi otwarte.

Będziemy mieli zegary elektryczne, dzięki inicjatywie pana prezydenta Warszawy. Rzecz to bardzo pożyteczna. Oceniam to lepiej niż kto inny, gdyż pijąc kawę o 9 rano

będę miał tę słodką pewność, iż p. Korpa-czewski, wypoczywający mężnie na ulicy Trębackiej po trudach wygnania upadłych aniołów i p. Szymanowski na placu Teatralnym, jeśli piją mokkę z mlekiem o tej samej godzinie, czynimy to jednocześnie! Kochankowie na schadzki i podróżni na kolej spóźnić się będą w równej mierze, a co najbardziej, raz pojmiemy, kiedy trzeba zdążyć aby trafić na początek widowiska w obu teatrach. O, to bardzo dobrze!—ale wiele te zegary będą kosztować? Tęga to była głowa, co wymyśliła podobną entrepryzę... dla dobra miasta. Nawet opinia Warszawy w oczach cudzoziemców się poprawi nie mało. Każdy sobie pomyśli: musi to być miasto szczęśliwe i dobrze administrowane, obfitować we wszystkie wygody publicznego życia, skoro sprawa za drogie pieniądze elektryczne graciki, jakich ile mi wiadomo, nie pozwoliło sobie żadne inne wielkie miasto Europy.

I naturalnie takie przypuszczenie jest nieomylnem... jak dwa razy dwa pięć. Dziś rano kazałem sobie podać szklankę wody do picia. Podano mi błoto rozmącone z wodą.

— Co to jest?
— Woda z wodociągu.
— Dla czego taka brudna? daj mi czyściej...
— Innej nie ma, bo Wisła przybrała.

położenie rzeczy podobnych złudzeń ani na chwilę nie usprawiedliwia. I te społeczeństwa, jak np. Francya, któreby liczyły na podobną ewentualność, dowiodłyby tylko lekkomyślnej nieznajomości rzeczy i zmarnowały w próżnych nadziejach czas, zamiast pracować innemi środkami nad rozwiązaniem zadania swej polityki. Fundować zaś przepowiedni politycznych na tak błahym pozorze, jak przemijająca polemika dziennikarska, nie można bez popełnienia anachronizmu i śmieszności. Kłótni dziennikarskich między półurzędową prasą niemiecką a prywatną rossyjską pewno będziemy niejednokrotnie świadkami, ale żebyśmy mieli doczekać się zerwania związków istniejących między Niemcami a Rossyją — najzupełniej powątpiewamy. Społeczeństwa zdrowe politycznie powinny o tem pamiętać, gdyż wiedzieć należy nie to czego się życzy, ale co jest prawdą rzeczywistą. Taka dopiero wiedza stanowi siłę w polityce.

Litwa do Unii Lubelskiej.

przez autora „Poglądu na literaturę polską.”

Mamy pod ręką książkę niewielkiej objętości, której autor kreśli dzieje Litwy, obejmując cały jej okres do unii lubelskiej. Z góry musimy uprzedzić czytelnika, ażeby zbyt wiele nie wymagał od autora, albowiem widocznie postawił on sobie bardzo skromne zadanie: przedstawić jak najtreściwiej dzieje książąt panujących, zakładanie miast, prowadzenie wojen z sąsiadami, oraz dzieje zamieszek wewnętrznych. Wewnętrznej historii narodu, rozwoju jego życia umysłowego, moralnego, religijnego, społecznego i t. d. autor nie miał zamiaru poruszać. Nie zamierzał też autor kreślić samodzielnego źródłowego studjum, ograniczyć się na skopiowaniu tego, co jest już wiadomem.

Pragnąc dać bardziej szczegółowe sprawozdanie z tej broszurki, nie pozostaje nam nic więcej, jak streścić w kilkudziesięciu wierszach te wypadki politycznych dziejów Litwy, które autor przedstawił na kilkudziesięciu stronnicach, czyniąc uwagi nad sposobem w jaki swój przedmiot traktował.

Zaznaczywszy pierwotne dzieje krajów dziś Litwą zwanych, a według niektórych

kronikarzy zamieszkałych przez Herulów lub Alanów, którzy obrali sobie za wodza starca Wojdewutusa, wspomina następnie autor o synie jego Litwosie, od którego kraj nazwę swą wziął; zaznacza także twierdzenie, iż założycielem narodu litewskiego był Palemon, czyli Publius Libo, który z Włoch zmuszonym był uciekać za czasów wojny domowej między Juliuszem Cezarem a Pompejuszem. Logiczniej atoli mniema, idąc śladem innych kronikarzy, że Palemon książę rzymski, założyciel dynastii litewskiej żył około roku 925 po narodzeniu Chrystusa.

W dalszym ciągu kreśli autor dzieje potomków Palemona, którego wnuk Kiernus, jest pierwszym książęciem litewskim i pierwszy wojował z książętami ruskimi. Dalej kreśli dzieje panowania dzielnego Erdziwiła, który po licznych zawojowaniach, zaczął się pisać następującym tytułem: Erdziwił Montwiłowicz, Żmudzkiej i Litewskiej ziemi dziedzic, pierwszy wielki książę Ruski i Nowogrodzki. On pierwszy wojował z tatarami.

Jeden z bliższych potomków Erdziwiła, pierwszy z książąt litewskich przyjął wiarę grecką.

Pominiemy cały szereg panujących i wypadków, które kolejno w sposób suchy wlicza autor, nie oznaczając nie tylko dat, ale nawet wieku, tak iż czytelnik, mało obeznany z przedmiotem, zgubi się w tym chaosie faktów. Przeskoczmy do roku 1220, gdy za panowania Ringolta, Niemcy wkroczyli w ziemię Liwlandzkie czyli Łotewskie. Wtedy to poraz pierwszy zjawia się zakon krzyżacki, z którym niejedną bitwę Ringolt i jego następcy staczać musieli. W tem miejscu kreśli autor w kilkunastu wierszach dzieje zakonu krzyżackiego i następnie tylko w kilku miejscach wspomina bardzo pobieżnie o krwawych stosunkach Litwy z tymi rycerzami krzyża. Wogóle te tak ważną kartę dziejów narodu litewskiego zapełnił autor kilkoma zaledwie faktami. Kilkom słowami zbywa tak ważne ustępy, jak panowanie Mendoga, który w r. 1251 został królem litewskim, koronowanym przez papieża, a potem zrzekł się wiary chrześcijańskiej i stał się największym jej prześladowcą. Dostatecznie już znanym, pełnym krwawych dramatów dziejom Mendoga, oraz jego następców Trojnata i Wojsielka, zwanych już tylko książętami litewskimi, kilka wierszy po-

święca autor; a w dalszym ciągu mniej ważne przytacza fakta, jak np. podanie o Swinteregu, który wyjechałszy razu jednego na łowy z synem swoim Germuntem, trafił na miejsce w puszczy gdzie Wilenka wpada do Wilii; miejsce to bardzo mu się podobało, zalecił więc synowi, aby tam spalono jego ciało.

Dalej znowu następuje cały szereg wliczeń panujących książąt, z zaznaczeniem tylko przy niektórych z nich, że „toczyli krwawe wojny z krzyżakami.” Otóż dzieje tych krwawych wojen byłyby dla nas bardzo ciekawymi. Dopiero przeszedłszy do sławnych czasów panowania Giedymina, zaznacza autor kilka wybitniejszych bitew z krzyżakami, zwycięstw nad nimi i zawartego przymierza.

Następnie, bez żadnego widocznego związku, przechodzi do dziejów Polski, zaznaczając następujący fakt, nie mający żadnej łączności ze wspomnianem poprzednio przymierzem Giedymina z krzyżakami: „W owym czasie, to jest w r. 1320, Władysław Łokietek, pierwszy z królów polskich, koronowanym był w Krakowie, gdyż zaczawszy od Bolesława Chrobrego, to jest od roku 990, polscy monarchowie koronowali się w Gnieźnie.

Dalej znowu urywa autor i przechodzi do następnych zwycięstw Giedymina.

Nie rozróżniając podać od dziejów pewnych, opowiada autor historię założenia Wilna, jako fakt w szeregu innych nie ulegających wątpliwości.

O stosunkach z Polakami nie wspomina autor aż do roku 1325, gdy córka Giedymina Aldona, wyszła za mąż za Kazimierza królewicza syna Władysława Łokietka, i gdy zawarte zostało przymierze między Polską i Litwą, które autor dość ryzykownie nazywa pierwszą unią.

Odtąd autor kreśli już łącznie dzieje Polski i Litwy, głównie dzieje wspólnie prowadzonych wojen. Wzajemny stosunek dwóch sąsiednich państw jeszcze mało jest uwzględniony.

Po obszerniejszem nieco skreśleniu historii Olgierda i Kiejstuta, przechodzi następnie do dziejów panowania Jagielly i Witolda, które także obszernie i w sposób dosyć zajmujący opowiada; opisuje dzieje małżeństwa z Jadwigą, chrztu Litwy, niesnaski i walki z Witoldem, wojen domowych Witolda ze Skirgiellą, dzieje wojen z krzyża-

Przypomniałem więc sobie, iż od czasu założenia wodociągów, rok rocznie, gdy Wisła wzbiera, warszawianie piją błoto zamiast wody. Piją, krzywią się i nie mówią, — sza — niedomyślając się nawet, iż fizyka i chemia mogły też cokolwiek od onego czasu postąpić i zdolne są podać środki innego urządzenia filtrów, któreby przepuszczały wodę czystą a nie żółtą błotnistą. Ktoś zrobił takiej wody rozbiór i strach go ogarnął, co w niej znalazł. Prasa pomedytowała, pomruczała, chemika pochwaliła i rozbiór został na papierze, a my rozmęczone błoto zamiast wody pijemy.

W każdym kraju, np. we Francji, robią próby dla zaradzenia złemu, poświęcają duże pieniądze, ogłoszono konkurs. U nas o takich *fraszkach* nikt nie myśli. Interes niepewny, lepiej ufundować parę tuzinów zegarów elektrycznych. A jeśli jakiś higienista zrobi uwagę, iż w Paryżu 27 ludzi, a w Warszawie 36 na tysiąc umiera — to niechże sobie uwagi robi, kiedy mu to przyjemne. Człek na takie głupstwa nie pyta — powiada Gerwazy w Łobzowianach.

Kronika Rodzinna martwi się wprawdzie wzrostem przekłętą wolnomyślności, złości się na bezbożników którzy śmiał w nas wskrzeszać szatańskie imię Woltera, ale za-

to ma istotnie ważny przedmiot do zadowolenia.

„Szkoły u nas znajdują się na stanowisku na jakim kościół widzieć je pragnie” — powiada ten organ dewocki we wstępie do przekładu odezwy Leona XIII, broniącej sprawy przymusowej nauki wykładu religii w szkołach. Ponieważ u nas taka nauka istnieje, przeto *Kronika Rodzinna*, przyjmując na siebie rolę kościelnego herolda, oznajmia wszem wobec i każdemu z osobna swe zadowolenie z obecnie panującego systemu wychowania szkolnego. Rozczula nas do prawdy to prawdziwie chrześcijańskie zamiłowanie *status quo* i owa potulna bezkrytyczność, wywołana zaspokojeniem interesów wyznaniowych.

Czy obecnie przeważający system odpowiada potrzebom umysłowym i społecznym kraju naszego, czy wiedza wykładana w szkołach może stać się istotnie choć w części mistrzynią życia, czy wszczepia się w umysł treść, która potem może się bujnie rozpleść na niwie realnego i umysłowego życia, czy zakłady naukowe dostatecznie uprzyściplniają wiedzę dla wszystkich, którzy jej tylko łakną, o to klerykalizm niewiele się troszczy, zadowolniony tem, że uczniowie uczą się recytować na wrywki katechizmowe formuły i za kartkami chodzą do spowiedzi. Gdyby to jeszcze oprócz *Kroniki*

Rodzinnej i Przeglądu Katolickiego nie wychodziła u nas ani jedna ćwiartka drukowanego papieru, tożtoby dopiero radość panowała wśród prawowiernych naszych. A tu jak na złość *Kronice*, organizują spółki umysłowe, które mają za główny cel odświeżanie atmosfery umysłowej naszego ogółu, który, co gorsza, chętnie czyta utwory nawet takiego Zoli, ochrzczonego przez pobożny organ delikatną nazwą „ulicznika paryzkiego” za to, że śmiał zuchwale w nieco nagich barwach przedstawić życie i charakter katolickiego duchowieństwa. Gdy tak znakomity pisarz jak Zola, został potraktowany w podobny sposób przez dewocki organ, to śmiemy się zapytać autora tej elukubracji, jaka nazwa dla niego będzie odpowiednią, jeżeli mamy ją zastosować względnie do różnicy talentów? Cofamy się z odpowiedzią na to pytanie, aby nie wprowadzać w szpalty nasze istotnie ulicznikowskiego tonu.

Ruski Mir donosi z Wiednia, iż kółko studentów słowiańskiej narodowości wyższych zakładów naukowych w tem mieście, powzięło zamiar wydawania corocznie *Almanachu*, celem wzajemnego obeznania się z historią, etnografią i obecnym stanem ludów słowiańskich. *Almanach* wydawany będzie we wszystkich słowiańskich narzeczeniach prócz... polskiego, gdyż jak donosi pomie-

kami i innych zwycięstw Jagiełły. Dalej idą dzieje niepołączonych jeszcze stanowczo krajów Polski i Litwy, to jest kolejny opis wypadków politycznych aż do roku 1569, gdy na walnym sejmie w Lublinie ostatecznie ugruntowała się Unia Wielkiego Księstwa Litewskiego z koroną Polską.

Oto treść pracy autora „Poglądu na Literaturę polską”, która oczywiście dla nauki nic nowego nie tworzy, gdyż jest prostym układem faktów, bez żadnej przewodniej myśli, bez ścisłego nawet związku logicznego. Z osobistych poglądów autora dowiadujemy się tylko, że wierzy w determinizm, uważa bowiem pewne wypadki za skutek kary nieba, a także, że pogardza motłochem, który, jak się wyraża, „był, jest i będzie zawsze motłochem (!)”....

W tak krótkim zarysie dziejów winny być uwzględnione tylko najważniejsze fakty. Tymczasem autor, pomijając wiele niezbędnych rzeczy, opowiada np. taką drobnostkę, że w roku 1413 zima była tak ciepła, iż w miesiącu styczniu fijołki, róże i jarzyny kwitły.

Dość znaczną część broszury zajmuje spis kolejnych wszystkich wielkich książąt litewskich, przed unią i po unii, aż do wygaśnięcia tego tytułu w oddzielnym jego znaczeniu; zaznaczeniem czasu panowania, albo tylko daty śmierci; a dalej spis porządkiem alfabetycznym domów, pochodzących ze krwi książąt panujących tak litewskich, jak i innych, a w Litwie i Polsce osiadłych, obecnie potomków mających, równie jak i już wygasłych. Ta ostatnia część broszury, ma zdaniem naszym, w wielu miejscach anachronizmu naukowego wartość.

STRONNICTWA W SPOŁECZEŃSTWIE

przez

FELIKSA BOGACKIEGO.

I.

Chociaż zwierzęcy organizm i ciała społeczne bardzo mało są do siebie podobne, zachodzi jednakże między nimi niejaki zbliżenie, pozwalające porównywać je ze sobą w celu wyciągnięcia ztąd pewnych wniosków, ustalenia pewnych zasad, słusznych w zastosowaniu do życia i organizmu w znaczeniu biologii, i organizmu społec-

nego. Wspólną obu organizmom cechą, jest stały wzajemny stosunek części do całości i części do siebie, pewien ład, porządek, zgoda, spólzależność każdej cząstki od wszystkich i wszystkich cząstek razem od każdej z osobna. Tak np., zarażenie jednej cząstki ciała ludzkiego przez ospę, syfilis, grozi chorobą całemu organizmowi; ból jednego tylko zęba rujnuje zdrowie, spokój, usposobienie, odbiera sen, łamie i wyniszcza cały organizm. Podobnie jeden tylko złodziej we wsi jest w stanie zamącić spokój całej ludności. Nieskończone mnóstwo wyznań, powstałych na łonie chrześcijaństwa, dowodzić może, że pojedyncze przekonania nawet sprawować mogą wielkie przewroty społeczne, że są one wielką siłą, z którą się trzeba ściśle rachować, ponieważ są zaraźliwe.

Inne przykłady lepiej tę rzecz wyjaśniają. Jeżeli ktoś zaczyna tyć, stan ten niechybnie pociąga za sobą niszczenie wszystkich organów ciała, oprócz tkanki tłuszczowej, — niszczenie mięśni, mózgu, organów, odradzania się i upadek ich czynności; wraz z narastaniem tłuszczu, ruchy stają się bardziej ociężałe, nie tylko z powodu iż mięśnie mają do czynienia z większym ciężarem ciała, ale że same te mięśnie, skutkiem przeradzania się ciała w tłuszcz, niszczą się i nikną, po części też z tego powodu, że coraz mniej zostają w ruch wprowadzane. Kto żyje wyłącznie głową, życiem mózgowym, zaczyna powoli tracić okrągłość i pulchność, mięśnie słabną, tłuszcz zużytkowuje się na podtrzymanie sił mózgu, skóra żółknie i marszczy się, — bo jeden mózg przewodzi całemu organizmowi, pochłaniając i zużytkowując wszystkie jego siły. Człowiek znów oddany pracy fizycznej staje się z czasem, jeżeli praca nie wyczerpie zdrowia i nie stłóży organizmu, systematem tylko mięs; tłuszcz niknie powoli, odżywiający zużyte mięśnie, mózg pozostaje w dziecięcym stanie, nie odbierając tego, co by się mu należało, a co idzie na podtrzymanie mięśni. Płciowe nadużycia robią człowieka niezdolnym do niczego, skupiając i ześrodkowując jego fizyczne i umysłowe siły do jednej tylko dążności, — człowiek nawet dobrze rozkochany, jest, właściwie mówiąc, zupełnie do niczego! Wszystkie te następstwa są w każdym powyższym wypadku skutkiem przeważnego panowania jednych przyrządów organizmu nad resztą innych, — w każdym

podobnym wypadku skutkiem skupienia sił organicznych w jednych organach następuje wycieńczenie innych, zamęt, stan chorobliwy, grozący bądź chorobą, bądź nawet z czasem śmiercią całemu organizmowi, w każdym razie zamęt szkodliwy.

Przejdźmy do innej kategorii zjawisk — do skutków specjalizacji zajęć i czynności. Fakty te zdadzą się później nieco. Skrzypek zawsze będzie miał coś do zarzucenia pianście, tenj ostatni fleciście, — wszyscy zaś razem jako muzycy, uważają swą sztukę za kwintesencję, za kwiat wszystkich sztuk; rzecz też pewna, że nauczyciel tańców musi się zapatrywać na rzeczy tego świata, jeżeli nie wyłącznie ze stanowiska lekkości i zgrabności poruszeń, to w każdym razie pogląd jego na ludzi nie może być zupełnie wolny od choreograficznego kolorytu. Znana jest powszechnie niechęć ku sobie poetów i matematyków: zawsze znajdą oni coś do zarzucenia jeden drugiemu, — bowiem według matematyka, człowieka nawykłego do ścisłości i pewności, poecie braknie piątej klepki w głowie, — według zaś poety, człowieka obytego ze światem wyobraźni, waga, miara i liczba są rzeczami niegodnymi zaprzętywać uwagę człowieka, są więzami, krępującymi poloty ducha, są kratami więzienia, z którego się wyrwa do świata ideału niespokojny duch poetycki. Wówczas, kiedy prawdziwy filozof, prawie monoman, w obłądnie jasnowidzenia, nazywa przyrodnika rzeźnikiem, — ten ostatni z całą szczerością nie może uważać filozofa za kogo innego, jak za istotę bądź bliską obłąkania, bądź już obłąkaną; przyrodnik nie chce znać nic innego oprócz rzeczywistości, filozof zaś wszystko, oprócz tejże rzeczywistości. Szewc sądzi człowieka z obuwiu, krawiec — z ubrania, praczka, z czystości bielizny. Wojskowy, z powołań oddany swemu zawodowi, ma za nic, lekceważy sobie najzupełniej człowieka oddającego się pracom naukowym, co jest skutkiem argumentacji, prowadzącej ku obronie swoich zalet, pro domo sua, dążącej ku temu celowi drogą ośmieszenia, podważania ufności do tego wszystkiego w innych, czego mu najbardziej brakuje, albo też czego z samego swego zawodu musi być wrogiem: niepodobna bowiem być apostołem dwóch sił fizycznej i umysłowej, jak też niepodobna mniej więcej wygodnie na dwóch stołkach siedzieć.

niona gazeta, studenci polscy nie zgodzili się na przyjęcie udziału. Jeżeli korespondent dobrze jest powiadomiony — a mamy zaś prawo sądzić, że tak nie jest, bo wiemy iż korespondenci *Ruskiego Miru* albo piszą tendencyjnie, albo mylnie — to godzi się zapytać, których to instytucyj naukowych słuchacze polscy wyłączyli się dobrowolnie z pracy wzajemną korzyść wiedzy na celu mającej? Gdyby jednak pomieniony *Almanach*, zamiast wyłącznie naukowych, miał jeszcze i cele polityczne, to ci studenci polscy którzy się od współudziału w nim uchylili, uczynili dobrze, nie wdając się w konszachty niemające nic wspólnego z głównym przedmiotem zajęć studenckich: z nauką. Nazwiska inicjatorów pp. Theodora Ritter von Vilowsky, Silvestra L. Dremlika i Grigoria Ceglińskiego, są zupełnie nieznanymi i nie dają żadnej nikomu gwarancji, dobrze więc jest poczekać, aż pierwszy rocznik wyjdzie, a jeśli praca okaże się uczciwą w tendencji, to niezawodnie znajdą się i polscy studenci, którzy do wspólnego trudu wspólne przyniosą siły. Przed niewodem zaś ryby łowić... zdradnie.

Założono na Nowem-Mieście skwer — a założono go pewno kosztem miasta; i rozradowała się dusza mieszkańców tych okolic, pozbawionych jakiegokolwiek miejsca prze-

chadzki publicznej, pozbawiona zieloności, cienia, widoku kwiatów i muzyki ptaszek, jak się wyrażają brukowi reporterzy. Ale cóż, minęła wiosna i lato, przyszła jesień i oto pokazało się, że „nadzieja” zawiodła. Połowa drzewek poschła, trawniki zostały wydeptane. Któreś z pism, donosząc o tem, melancholiczną robi uwagę: iż skwer nie miał, jak mają inne — opieki. A to dla czego? Należało przecież przed a nie po szkodzić myśleć o opiece! A powtóre wartoby się zapytać do kogo należał dozór nad skwerem i kto go urządził? Jeżeli połowa drzewek poschła, to dowód, że płonki zasadzone były złe i odpowiedzialność za to ciąży na panu ogrodniku, który za złe płonki powinien zapłacić, bo miasto nie ma pieniędzy do wyrzucania dla tego, że są niedbali panowie dostawcy i przyjmujący. Powtóre, co też myśli miejscowa policja, jeśli pozwoliła wydeptywać trawniki, to jest niszczyć własność publiczną, do ochrony której jest obowiązana? Zamiast bezsilnych skarg, wolelibyśmy w tej kwestyi surowe postępowanie z winnymi, gdyż inaczej myśl uprządkowania Warszawy będzie złudną chimerą dla mieszkańców, a korzystną tylko dla niepilnych przedsiębiorców tego dzieła.

Nowiny donosząc w artykule nadesłanym

z proboszcz z Sompelna otrzymał pozwolenie od Dyrekcyi naukowej na bezpłatny wykład religii w szkole wiejskiej, zdają się tem samem pochwałać i propagować czynny na tem polu udział duchowieństwa. Co do nas przeciwnego jesteśmy zdania, głównie z tego powodu, iż kler nasz za mało posiada światłych i wolnych od fanatyzmu członków, aby jego współudział w dziele oświaty ludowej był pożądanym. Przynajmniej spostrzeżenia w szkołach średnich i na pensjach prywatnych nad tą kwestyą poczynione, wcale nas nie zachęcają do popierania bezpośredniego wykładu religii przez duchownych.

Zakresowi religijnej instrukcyi dla ludu, sądzimy, dostatecznie zadość czynią nauczyciele świeccy, ksiądz zaś jeżeli przymiotami swego charakteru i życia daje dobry przykład czynem, spełnia wszystko co od niego na teraz wymagać można. Jeżeli kiedykolwiek poziom umysłowy wiejskiego duchowieństwa podniesie się do wyższych ogólnoludzkich zadań, to udział księdza w opiece szkolnej, tak jak każdego ukształconego człowieka, będzie niewątpliwie użytecznym i pożądanym. Ale dziś, powtarzamy, jest to zawczasie, bo idea tolerancji religijnej w łonie duchowieństwa jeszcze niedojrzała. Szkoła zaś wiejska, bardziej niż inne, powinna zostać po za obrębem fanatycznych wpływów, gdyż jak to liczne dowodzą przy-

Znaną jest oddawna wzajemna ku sobie nienawiść całych klas społecznych. Tak zwany pan uważa tak zwanego chłopca za bydło; chłop zaś pana za wiecznego swego wroga, za darmojadę, za wilka szkodliwego dlań, jako dla oskubywanej owcy, za wcale niepotrzebną istotę; pan zaś, gardząc tą zkadnąd wcale przyjemną owcą, chłopem, uważa go za istotę potrzebną, bo by się bez niej obejść nie mógł i nie umiał. Mniej więcej podobne stosunki zachodzą między rzemieślnikiem a kupcem, kupcem a chłopem. Nie dotykając jeszcze teraz pytania o nieusposobieniach wzajemnych panów i niepanów, jako mniej więcej pytania najogólniejszego, zatrzymajmy się na chwilę na fakcie spółzawodnictwa różnych zawodów i możliwych przypuszczalnych jego społecznych następstwach. Artysty, literaci, juryści, uczeni, księża, rzemieślnicy, wojskowi, obywatele, kapitaliści, kupcy, lekarze i t. d., wszyscy oni mają każdy swoje poglądy, swoje przekonanie, swoje zapatrywanie na świat, coraz odmienne, rozmaite od innych różne i w skutek najrozmaitszych przyczyn mniej więcej sprzeczne ze sobą i wrogię. Wyobraźmy sobie jakim byłby świat społeczny, gdyby jego urządzenie zależało wyłącznie od księży, albo od artystów? albo np. gdyby go urządzali jednocześnie księża, uczeni i poeci? Wyobraźmy tylko sobie, nie mówię już samo urządzenie świata, ale same tylko plany i niuniknione sprzeczki. Wyobraźmy sobie tylko projekt ratowania ludności w czasie epidemii podany przez księdza i lekarza: jeden będzie leczyć postem i umartwieniem ciała, drugi zdrowem i pożywnem jedzeniem.

Podobnie ma się rzecz co do różnicy wyznań. Mieszkający w jednym mieście chrześcijanie, żydzi i mahometanie zawsze potrafią znaleźć powód do niechęci, a sami nawet chrześcijanie, jeżeli na nieszczęście są różnych wyznań—z góry to powiedzieć można, już w skutek tej jednej błahej, a raczej nawet żadnej przyczyny, żywią wieczną niechęć ku sobie, nieusposobienie, często wstręt i nawet nienawiść—i nikomu do głowy nie przyjdzie, że wzajemna pogarda dwóch osób ku sobie musi mieć w liczbie, rzadko wprawdzie bardzo słusznych—z jednej strony—powodów, pewne inne powody z pewnością już całkiem niedorzeczne. Jam katolik, tyś luteranin, a więc wojna. Nikt nie pomyśli, że gdyby było na odwrót, gdy-

bym ja był nie katolik, a luteranin, — a on zaś nie luteranin, a katolik, — byłaby też sama wojna. Za co? o co? dla czego? Nie wiadomo... W podobny też sposób, rozumie się najczęściej ale nie zawsze, często bowiem bywają osobliwsze, przynajmniej z jednej strony powody, — francuz nienawidzi niemca, niemiec słowianina, wszyscy jedni drugich. Zkąd? na co? po co? Każdy zaskoczony dobrze, przyparty pytaniem do kąta, nie znalazłby języka w gębie, albo by powiedział niedorzeczność. O nienawiściach religijnych i plemiennych napomknąłem dlatego, że w skład społecznych ciał, oprócz mnóstwa różnych żywiołów, wchodzi żywy różnowercze i różnoplemienne. Nie mam potrzeby dowodzić, że, przy normalnych zkadnąd i zwykłych warunkach życia, te ostatnie nieusposobienia są przede wszystkim skutkiem naleciałości archaicznych, tracących z dnia na dzień w miarę rozwoju ludzkości, swoje znaczenie i siłę. Źródła tych niechęci wciąż wysychają a jeżeli istnieją gdziekolwiek, to tylko w skutek bądź głupoty, bądź wreszcie tego, że są sztucznie i z rozmysłem podsycane, często umyślnie, często może i nieumyślnie, ale dzięki wrogim i nieprzyjaznym życiu społecznemu okolicznościom.

PAŃSTWO DE LA ROCHE.

przez

EMILA ZOLE.

Hrabia Maksymilian de la Roche ma lat trzydzieści dwa. Jest on potomkiem jednej z najstarszych rodzin w Anjou. Ojciec jego był senatorem za Cesarstwa i nie odstępował, jak sam zapewnia, od żadnego ze swych legitymistycznych przekonań. Przytem de la Roche nie utracił ani piędzi ziemi podczas emigracji i są zaliczani do najbogatszych właścicieli ziemskich we Francji. Powiadają o nich, że są równie zręczni jak bogaci. Co się tyczy Maksymiliana, ten przepędził burzliwą młodość; służył w papieżkich żuawach, poczem wrócił do Paryża, gdzie brał znaczny udział w wyscigach; grał w karty, miał kochanki, dwa pojedynki, lecz niczem się nie skompromitował. Jest

to wysoki blondyn, znakomity jeździec, ograniczonego umysłu i bez silnych namiętności. Właściwie żył dotychczas jak wszyscy żyją, a teraz myśli wstąpić na dyplomatyczną drogę, aby się ustatkować.

Za głowę rodu de la Roche uchodzi jedna z jego ciotek, baronowa de Bussère, energiczna staruszka, żyjąca w świecie politycznym i akademickim. Ile razy jej siostrzeniec, Maksymilian, mówi o swych planach, ona wykrzykuje, że przedewszystkiem winien się żenić, ponieważ małżeństwo jest podstawą wszelkiej poważnej karyery. Maksymilian nie ma przeciw ożenieniu się. Prawda, dotychczas o tem nie myślał, a wreszcie chętniej pozostałby kawalerem, lecz jeśli do odegrania w świecie wybitnej roli trzeba się ożenić, to on chętnie wypełni tę formalność, jak i każdą inną. Wyznaje wszakże, śmiejąc się, iż stanowczo w nikim nie jest zakochany i znajduje bardzo trudnym wybór narzeczonej. O ile sobie przypomina, wszystkie panny z którymi miał sposobność tańczyć, były w jednakowych białych sukniach i jednakowo skromnie się uśmiechały. Pani de Bussère w zachwycie. Nie potrzebuje on niczego szukać i łamać sobie głowy. To nie jego rzecz. Nie zna kobiet i wybrałby sobie żonę nieszczęśliwie. Ciotka więc bierze na siebie wszystkie kłopoty.

Następnego dnia baronowa mówi Maksymilianowi o panie Henryecie de Salleneuve. Majątek znaczny, stara szlachecka familia z Normandyi, małżeństwo zupełnie odpowiednie pod wszelkimi względami. Ciotka przedstawia korzyści podobnego związku. Trudno znaleźć partyę, któraby więcej odpowiadała wszystkim wymaganiom świata. Podobny związek nikogo nie zadziwi. Maksymilian z pokorą kiwa głową. W samej rzeczy, wszystko to wydaje mu się bardzo rozsądnem. Nazwiska wzajemnie są sobie warte — majątki prawie równe — stosunki bardzo cenne, zwłaszcza dla tego kto chce wejść na drogę dyplomatyczną.

— Zdaje się, że to blondynka? — zapytuje on nareszcie.

— Nie, brunetka — odpowiada baronowa. To jest, ja sama właściwie dobrze nie wiem... Może być, że szatynka.

Zresztą, czyż to nie wszystko jedno? Nie ulega wątpliwości, że Henryeta ma lat 19. Maksymilian przypomina sobie iż, zdaje

klady i fakta, lud nasz bardzo jest skłonny do religijnego pietyzmu. Więc też hamulec, iż tam tylko religii w szkole mógł ksiądz udzielać, gdzie gmina zdobyła się na odpowiednie pieniężne wynagrodzenie, uważaliśmy w obec przezornego skąpstwa włościan, za najzupełniej odpowiedni istocie położenia. Dla tego też, o ile rozumiemy radosne wiwaty z otrzymanego przez proboszcza z Sompolna pozwolenia w pismach klerykalnych, o tyle radość dzienników przeciwnego obozu słusznie może, co najmniej, zadziwić.

Pisma zapowiadają Warszawie nowego Hausmanna. Pan Grancow, znany przedsiębiorca ciesielski, ma być tem dla nas, czem ów Napoleoński prefekt dla Paryża. Ma burzyć jedne, stawiać drugie ulice od fundamentów, prowadzić kanały, osuszać całe dzielnice... słowem przeobrazić Warszawę. Punktem wyjścia będzie ulica Królewska, gdzie p. Grancow kupił, czy też zamierza kupić składy po Banku Polskim i takowe przerobić na trzypiętrowe kamienice. Na dole będą sklepy i kantory, na pierwszym piętrze biura i restauracye, na drugim mieszkania, na trzecim chambres garnis... Mało tego, ulica Królewska zalewana jest powodzią, gdy tylko silniejszy deszczyk pokropi Warszawę, więc pan Grancow zbuduje wła-

ścianym kosztem kanał do ulicy Obożnej (nb. podobno już taki istnieje), który całą dzielnicę osuszy tak że błogosławieństwo za to mu się będzie należeć. No, co tu dobrodziejstw — szkoda tylko, że podejrzujemy, iż wszystkie te projekta wylęgły się jedynie przed okiem duszy naszych reporterów. W rzeczywistości jak nie było nic, tak nie będzie. Pan Grancow postawi kamienicę, gdzie za drogie pieniądze będziemy mieli wszystkie niewygody warszawskich mieszkań, ulica jak była, tak będzie zatapiają dopóki nie nastąpi uregulowanie przez inżynierę Warszawy — bo tak być musi. Przecież naczytaliśmy się dosyć blagi na temat pasażu, jaki urządzić miało z dawnej poczty — a cóż? pasażu nie zbudowano, ale ohydna rudera stoi w środku Warszawy. Pytamy się tylko zdziwieni: po co reporterzy, wiedząc o wartości słów własnych, blagują z werwą godną lepszej sprawy? Gdyby im, jak zagranicznym, chociaż za to placowano, zrozumieć byłoby łatwiej, ale nie — więc jaki cel? Ah! nauczyliśmy się okłamywać bez celu — piękny nabytek! górą nasza rodzina cywilizacya!

Nasze strażę prowincjonalne nie mogą posiadać naturalnie koni, które imby podwożono wodę do ognia.

Koni tych nie można również dostać od

właścicieli miejskich rumaków, którzy stanowczo odmawiają tej usługi.

Niech żyje solidarność! niech żyje wzniosłe uczucie miłosierdzia i bratniej pomocy!

Ażeby jednak przełamać twardego serca sobkowiczów, magistrat Kielecki sporządza spisy tych, którzy dostawili konie i rozdziela między nich po 8, 5, 3 ruble od pary i tym więcej im rumaki spieszniej oddano do użytku.

Jest nadzieja, że po zakomunikowaniu tej wiadomości, konie będą dostawiane bardzo szybko przez prawdziwych przyjaciół kłęską dotkniętej ludzkości!

Ludziska u nas są bardzo łatwowierni; lada zręczne indywiduum umie ich wyzykskać. To, co niżej opowiemy, a co było przedmiotem sprawy sądowej, rozpatrywanej w ubiegłą środę w Sądzie Okręgowym Warszawskim, trudnem jest do uwierzenia. Oto w naszym ucywilizowanym mieście pojawiła się osobistość, która przez długi czas grała rolę adwokata, a w pewnych kółkach rolę członka Sądu Okręgowego i w ten sposób wyzyskiwała osoby dobroduszne. Osobistość ta umiała nawet wyrobić sobie szeroką klientelę wśród inteligentniejszej nawet części ogółu naszego. Obiecująca postawa, zręczność i bezczelność dzielnie pomogły jej w tym względzie.

się, tańczył raz z nią, jeśli tylko nie z jej młodszą siostrą. Wychowania nie dotyczą; jest to niepotrzebne. Wychowała ją matka, to dosyć. Co się tyczy jej charakteru, o nim nie może być mowy; nikt go nie zna. Pani de Bussère oznajmia, iż słyszała ją raz grającą walc Szopena z wielkiem uczuciem. Zapewne ma najlepsze w świecie serce. Zresztą, dziś jeszcze wieczorem nastąpi spotkanie w jakim neutralnym salonie.

Gdy wieczorem Maksymilian widzi pannę de Salleneuve, zadziwia się nadzwyczaj, znalazłszy ją przystojną. Tańczy z nią, chwali jej wachlarz, ona dziękuje mu uśmiechem. Po dwóch tygodniach nastąpiło formalne oświadczenie i notaryusze rozważają punkta kontraktu. Maksymilian widział Henryetę pięć razy. Jest rzeczywiście wcale nieszpętną, bielutką, wysmukłą i niezawodnie potrafi się ubrać, gdy zrzuci swe dziecięce suknie. Prawdopodobnie lubi bardzo muzykę, nie cierpi zapachu piżma, miała przyjaciółkę, którą zwano Klarą i która umarła. Raz nawet przyznała się wesoło, że jest nieco upartą. Oto i wszystko, a Maksymilian jest przekonania, że to dosyć. Panna pochodzi z rodziny de Salleneuve, bierze on ją z pod opieki bardzo surowej matki, więc nie ma się nad czem namyślać. Potem będzie miał czas bliżej ją poznać. Tymczasem myśli o niej bez przykrości. Nie jest w niej zakochanym, lecz kontent iż nie brzydka. Gdyby była brzydka, takżeby wypadało mu się z nią ożenić, nie bez pewnej przykrości. Staruszki, znajome baronowej, twierdzą, iż Maksymilian namiętnie w swej narzeczonej zakochany. Zgadza się on z uśmiechem i nakoniec sam w to wierzy. Namiętność nie przeszkadza mu zresztą pozostawać w ścisłych granicach przyzwoitości.

Wkrótce przed weselem młody hrabia kończy rachunki swego kawalerskiego życia. Utrzymał Antosię, była woltżerką z cyrku, która wróciła z Brazylii obsypana brylantami. Daje jej w prezencie nowe umeblowanie i rozstaje się z nią w przyjacielski sposób po kolacji, na której piją za jego małżeńskie szczęście. Spłaca długi, które się do tego czasu nazbierały, odprawia swego kamerdynera, pali niepotrzebne listy i otwiera wszystkie okna w swym hotelu, by go przewietrzyć. Potem jest gotów do ożenienia się.

Notaryusze obu rodzin ułożyli kontrakt. Cała nudna pieniężna strona sprawy była

im pozostawiona. Szlachetni ich klienci ograniczyli się tylko na zrobieniu im kilku uwag w tym przedmiocie. Wielka kwestya materialnych interesów zostaje, jakby zamaskowana, na drugim planie. Zresztą, sprawa jest bardzo prosta: majątek małżonków wiadomy, małżeństwo zawiera się na warunkach *régime dotal*. Podczas czytania kontraktu, obie rodziny nie wtrącają ani jednego słowa, ani jednej uwagi i z uśmiechem podają sobie pióro. Rozmowa prowadzi się o zupełnie odrębnych przedmiotach, o balu na cel dobroczynny, który baronowa ma zamiar wydać, o kazaniu jakie ojciec Montabret z takim talentem w przeszłą niedzielę wypowiedział.

Ślub cywilny odbywa się w jeden z poniedziałków, w które w merowstwach zwykle nie zawierają ślubów. Lecz mer zawiadomił, iż jest zawsze gotów do usług dla tak szlachetnej pary. Panna młoda ubrana bardzo skromnie, w szarej jedwabnej sukni; pan młody w czarnym surducie i jasnych spodniach. Ani żywej duszy z obcych; tylko członkowie rodziny i czterej świadkowie, jako ważne figury. Podczas gdy mer czyta artykuły prawa, spojrzenia Henryety i Maksymiliana spotykają się z uśmiechem. Jakim barbarzyńskim językiem się to prawo wyraża! Czyż małżeństwo, to rzeczywiście taka straszna rzecz? Każde z nich wypowiada uroczyste „tak” bez najmniejszego wzruszenia. Mer—malutki człowieczek, prawie że garbaty, a mizerna jego osoba pozbawiona prawie wszelkiej godności. Obecni objawiają powagę. Baronowa w ciemnej chustce, ogląda salę przez lornetkę i znajduje, że prawo jest bardzo ciasno ulokowane. Opuszczając kancelaryę, Maksymilian i Henryeta zostawiają po tysiąc franków dla biednych.

Cała uroczystość i wszystkie łyż zachowane do religijnej ceremonii. Żeby wesele ich nie zmieszało się z pospolitemi ślubami, wybierają małą kaplicę w kościółku Misyonarzów. Nadaje to zaraz małżeństwu delikatną woń nabożności. Jego Przewielebność ksiądz Felibienne, biskup jednej z południowych dyecezyj, daleki krewny rodziny de Salleneuve, dopełnia obrządku ślubnego. Gdy nadszedł dzień uroczysty, kościół okazuje się zbyt szczupły; wewnątrz, w półświecie, przechodzącym przez zabarwione szyby, daje się słyszeć szelest drogich materij i cichy szept głosów. Wszędzie dywa-

ny. Przed ołtarzem pięć rzędów krzeseł. Zebrała się tu cała szlachta Francji. Jest ona jak u siebie w domu, ze swoim Bogiem. Maksymilian we fraku zrobionym bez zarzutu wydaje się nieco blady. Zjawia się Henryeta, cała w bieli, otoczona obłokiem z koronek. Jest także wzruszona; oczy jej zaczerwienione — płakała. Gdy Jego Przewielebność Felibienne wyciąga ręce nad głowami nowożeńców, oboje schylają głowy z nabożnością, która sprawia wielkie wrażenie. Potem biskup głosem pełnym namaszczenia mówi o obowiązkach małżonków. Cała rodzina ociera łzy, zwłaszcza pani de Bussère, która była bardzo nieszczęśliwą za mężem. Następnie ceremonia kończy się wśród dymów kadzidła i blasku zapalonych świec woskowych. Nie jest to mieszczański hałaśliwy zbytek, lecz wyższy, dobry ton, wydelikatniający religię dla użytku ludzi dobrze wychowanych. Do chwili ostatniego uścisku rąk, po podpisaniu dokumentów, kościół staje się salonem.

Miesiąc miodowy trwał wszystkiego trzy tygodnie. Przyczyna rozejścia się bardzo drażliwa. Maksymilian, który przywykł do Antosi, chciał obchodzić się z Henryetą jak z kochanką, ona zaś zimna z natury i nieznająca dotychczas żadnych zmysłowych porywów, oparła się temu. Przytem po kilku dniach oboje się przekonali, że nigdy się z sobą nie zgodzą. Maksymilian temperamentu sangwinicznego, porywczy i uparty, Henryeta spokojnego, prawie apatycznego usposobienia, jest niemniej od niego upartą. Przytem wzajemnie obwiniają się o zawziętość. Lecz ponieważ ludzie ich towarzystwa powinni zawsze szanować pozory, przeto obchodzą się ze sobą z wielką uprzejmością. Są względem siebie wyszukanie grzeczni, codzien rano każdy z małżonków posyła dowiedzieć się o zdrowiu drugiego; co wieczór żegnają się ceremonialnym ukłonem. I chociaż tylko jeden salon rozdziela ich pokoje, są jednakże tak dalecy od siebie, jak gdyby ich dzieliły tysiące mil. Drzwi ich sypialni zamknięte na klucz.

Maksymilian znów złączył się z Antosią. Zupełnie porzucił myśl wystąpienia na widownię dyplomacyi. Była to po prostu głupia idea. De la Roche nie ma potrzeby kompromitować się polityką w naszej demokratycznej epoce. Gdy spotyka baronową de Bussère, śmieje się czasami z tego, że się bezpotrzebnie ożenił. Zresztą tego zbyt nie

Mówimy tu o sprawie Fiszla Śpiwaka pokątnego doradcy, przybyłego z Odessy.

Gdy wszelkie starania o uzyskanie świadectwa obrończego nie udały się naszemu bohaterowi, postanowił on w sposób samowolny przyswoić sobie tytuł „adwokata”. Wywiesił więc na drzwiach odpowiedni napis i puścił pomiędzy ludzi masę biletów wizytowych, umieściwszy przy nazwisku tytuł „adwokat”.

Praktyka doradca posłużyła mu do urzędzenia różnych szacherek. Tak między innymi, otrzymawszy od pewnej lichwiarki rewers na 850 rs., prosił ją, aby dla odróżnienia od innych rewersów, podpisała u dołu swoje nazwisko. Gdy to uczyniła, Śpiwak uznał za właściwe napisać nad nazwiskiem owej kobiety formalny przekaz rewersu na swą własność.

Inne kawały jego były jeszcze dowcipniejsze. W charakterze członka Sądu Okręgowego, w wicemundurze sądowym, zdołał wyzyskać od pewnej łatwowiernej kobieciiny łapówkę w kwocie rs. 15; z inną znowu rozseperowaną i podziłą mężatką odegrał rolę kochanki, także jako członek Sądu Okręgowego, chociaż jest on żonatym. Jako kochanek i narzeczony, zabrał od swej przyszłej małżonki wiele rzeczy dla urządzenia gniazdka małżeńskiego, poczem opuścił nieszczęśliwą niewiastę.

Nie pomogła zręczna obrona, którą podjął sam wniósł za sobą, gardząc pomocą adwokata; Sąd Okręgowy skazał go za fałszerstwo i oszustwo i przywłaszczenie cudzej własności na rok rot aresztanckich, z pozbawieniem szczególnych praw i przywilejów.

Żądają od nas abyśmy wyjaśnili że: zegar na wieży ratuszowej bynajmniej nie był sprowadzony z zagranicy, lecz wyrobiony przez p. Babczyńskiego Starszego Zgromadzenia Zegarmistrzów;—sprowadzono jedynie cyferblat przezroczysty z zagranicy, ze względu że wyrób takowego w tutejszem mieście nie był znany. Cyferblat ten będzie służył jako model na przyszłość w miarę zachodzącej potrzeby.

Budowy kanalizacyi Magistrat niema bynajmniej zamiaru powierzać obcym przedsiębiorcom i w tym celu żadne układy nie prowadzą się.

Wyrobienie projektu kanalizacyi i wodociągów powierzono angielskiemu inżynierowi Lindlejowi, ze względu, że tenże słylnie za granicą jako najlepszy w tym kierunku specjalista, a których w kraju trudno było szukać, gdyż dotąd niema żadnego miasta systematycznie skanalizowanego. Wykonane przezeń dla kilkunastu funkcyonują z powszechnem zadowoleniem.

Wynagrodzenie za sporządzenie projektu kanalizacyi i wodociągów wynosi 800 funtów szterlingów, wówczas gdy niektórzy z tutejszych inżynierów, bynajmniej nieprzedstawiający rękojmi gruntownej znajomości przedmiotu, żądali kilka razy większą sumę.

Kolej konna jest własnością Towarzystwa Głównego Dróg Żelaznych Rossyjskich, Zarząd zaś miasta żadnego niema udziału w administrowaniu koleją konną.

Projektowane są pewne zmiany w ustawie Warszawskiego Towarzystwa sztuk pięknych. Tak tajemniczo donoszą jedno za drugim pisma codzienne.

Przecież! Zmiany w ustroju naszego Towarzystwa sztuk pięknych pożądane są od dawna, nie wszystko bowiem w dziedzinie owego Towarzystwa idzie najlepiej. Lecz główną i najpilniejszą zmianą jaka byłaby potrzebna, to podobno trochę jawności w działaniach towarzystwa. Lecz na to nieporadzi statut—ale ludzka ciekawość, która rada wetknie nos w sprawy komitetu, które są przeciw sprawami ogółu, skoro ogół groszem własnym przyczynia się do utrzymania instytucyi. Nieco światła przy wyborze corocznie zakupywanych obrazów, nieco krytyki przy obdarzaniu stypendystów, nieco wiadomości o udzielanych z kasy pożycz-

załuże. Imię, majątek—zabezpieczone. Nie mógł zrobić lepszego wyboru. Interesa urządziły się jaknajdogodniej w świecie, tak że korzysta on z przywilejów znanego, poważnego człowieka, choć znosi i przykrości swego położenia. Znowu interesuje się wyścigami, przepędza noce w klubie i prowadzi bez trosk życie bogatego szlachcica.

Henryecie z początku było nieco nudno, lecz potem spodobała jej się swoboda zamężnej kobiety. Kilka razy na dzień każe zaprzęgać do powozu, lata po magazynach, odwiedza przyjaciółki i często wyjeżdża. Korzysta ze wszelkich wygod położenia wdowy. Dotychczas spokojne usposobienie chroniło ją od występku. Co najwyżej pozwała całować sobie końce palców, gdyż nie lubi mężczyzn. Lecz bywają chwile, gdy zaczyna uważać się za gąskę. Wtedy rozważa pytanie: czy na przyszłą zimę nie wziąć sobie kochanka? Wreszcie weźmie go sobie, gdyż wszystkie kobiety mają kochanków.

Międzynarodowy kongres monetarny.

Dawniejsze wieki tem się różniły od czasów bieżących, iż doświadczając działania niezmiennych praw przyrody lub społecznych, nie zdawały sobie z tego sprawy i nie domyślały się zależności między skutkami a ich przyczyną. I dawniej przechodzono różne przesilenia ekonomiczne i finansowe, ale fakta zostawiano bez badania, zadawalniając się jakim teologicznym lub transcendentalem wyrzeczeniem. Dziś jest inaczej. W wieku analizy wszystko ulega roztrząsaniu, wszystko poddawane jest ogniewi krytycznych rozpraw, dążących do teoretycznego i praktycznego rozwiązania kwestyi.

Oż dziwne ze pieniądza — ten czynnik tak ważny w ludzkich stosunkach, zwrócił na siebie pilną uwagę ekonomistów, że jego rola i działalność zostały wszechstronnie obejrzone, a spory jakie przy tem wyniknęły, nie będąc do obecnej chwili zamknięte, wywołują posiedzenia kongresów już nietylko uczonych, ale i międzynarodowych, na których reprezentowane są państwa przez swych urzędowych wysłańców. Taki kongres zebrany na żądanie pełnomo-

cnika Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, obraduje obecnie w Paryżu ze współudziałem wszystkich państw Europy, z wyjątkiem Niemiec, które kwestyę sporną już stanowczo u siebie przesądziły.

O co tu chodzi? Chodzi o to, czy miara monetarna ma być jedno lub dwumetalowa, oraz jeśli się przechyli zdanie ku dwumetalowości, jaki ma być stosunek obu tych wymiarowych wartości. Czyli: czy jednostką monetarną ma być złoto, czy też i srebro, oraz w jakim stosunku stałym naznaczyć trzeba wartość obu tych metalów względem siebie. Teoretycznie biorąc, kwestya została już rozstrzygnięta; w oczy biją korzyści jednometalowości, pojedynczości miary monetarnej. Złoto w najmniejszej przestrzeni zawierające największą wartość, jest właśnie tym metalem który najbardziej odpowiada warunkom, od praktycznej miary wartości wymaganym. Przekonano się, że odkrycie nawet bardzo obfitych kopalń i rozsypów, nie wpływa na zmniejszenie wartości złota, już to bowiem jego zużycie, już też coraz bardziej rozszerzający się krąg interesów, wymagają coraz większego zasobu metalicznego, a ztąd popyt na złoto mimo corocznej produkcji, utrzymuje go w równej mierze wartości.

Teoretycznie więc jednometalisci mają najzupełniejszą słuszność, i w kraju gdzieby monetę zaprowadzać po raz pierwszy należało, jedynie racjonalną jednostką byłaby złoto. Nadto, taki kraj nie powinien mieć innych handlowych stosunków, tylko z państwami również posiadającymi monetę złotą, albo nie przyjmować innych pieniędzy jak złote. Tymczasem takie oderwane stosunki nie istnieją, a czasy obecne odziedziczyły po przeszłości dwumetaliczną monetę, której wzajemny stosunek sprowadza w świecie finansowym pewne objawy, z jakimi musi się ekonomista liczyć w praktyce. Jednometaliczność więc monety niewątpliwie słuszna w teorii, jest kwestyą nader inaczej przedstawiającą się w praktyce. Idzie o to, czy dążąc do ideału teoretycznego, potępić dwumetaliczność w praktyce i usunąć monetę srebrną, czy też przyjmując we wzgląd stan wytworzony wiekami, utrzymać nadal dwumetaliczność stopy wartościowej. Na tym punkcie spór toczy się zacięty, a tylko nieświadomość ośmiela się twierdzić, że został ostatecznie przesądzony. Najznakomitsi ekonomiści i finan-

siści w namiętnych walkach występowali przeciw sobie niejednokrotnie, bo wątpliwość w dwumetaliczną stopę monetarną nie od dziś została podniesioną. Szkoła francuzka pod przewodnictwem Michała Chevaliera dokładała wszelkich starań, aby tak na polu teorii, jak na polu praktyki, zapewnić zwycięstwo złotu — ale udało się jej to tylko w pierwszej połowie. Po dwudziestu latach walki z bimetalistami, zebrany w Paryżu kongres monetarny w 1867 roku, stanowczo oświadczył się za złotem. Zdawało się że podobne orzeczenie tak poważnego ciała, ostatecznie wpłynie na monetarną politykę rządów — stało się przecieź inaczej. Najpierwsza Francya, mimo olbrzymiego nacisku ze strony swych teoretycznych ekonomistów, oparła się jednometalicznej walucie i za poradą znakomitego ziomka naszego Ludwika Wołowskiego, który sam jeden niemal stawał w obronie srebra, utrzymała dwumetaliczność waluty. Głównie szło tu o zabezpieczenie bogactwa narodowego, złożonego w zasobie srebra, od zniżenia jakie niewątpliwie musiałyby nastąpić, gdyby złoto uznaniem zostało za jedyną miarę waluty. Straty jakie musiałyby ponieść w najspokojniejszym czasie, przy przemianie waloru srebra na złoto, były tak znaczne, iż rząd francuzki obawiał się przystąpić do tej operacji, chociaż skutkiem praktyki handlowej, zmniejszało się ciągle użycie srebra jako zamienniej jednostki, a podnosiło użycie złota. Straty te w chwilach przesilen mogły być nieograniczone i dla tego też zdanie Ludwika Wołowskiego z wielkim zgorszeniem postępowych ekonomistów, utrzymało się na radach rządu francuzkiego; niedaleka zaś przyszłość dowiodła, jak zdanie to było mądre i ile przyniosło pożytków Francyi. Skoro bowiem skutkiem błędów polityki Napoleońskiej i nieszczęśliwszego jeszcze obrotu wojny francuzko-pruskiej, Francya zmuszona została do zapłacenia olbrzymiej kontrybucyi pięć miliardowej, okazały się dopiero korzyści dwumetalowej waluty. Francya sumę tę zapłaciła o rok wcześniej niż się zobowiązała, pokrywając ją weksłami na rynki całego świata, zarówno mające walutę złotą jak i srebrną, stosownie ich używając, która waluta w danej chwili była jej dogodniejszą. Pokrycia tych weksli były to zasoby Francyi po za granicami jej zostające, tak, że na zapłatę kontrybucyi nie

kach — podobno nie szkodziłoby dla moralnego zdrowia towarzystwa. I teraz na przykład dla czego autorowie zmian trzymają swe projekta pod korcem? Czyby nie dobrze było zaprodukować je w dziennikach ad usum publiki do wolnej dyskusji? Przecież niebawimy się w szeptanego, ale w życie publiczne — więc mówmy głośno i otwarcie.

Czekamy.

Pompa żałobna ma dostać nową liberyę... Karawany zostaną pokryte nowym sukniem, a grzbiety żałobników świeżymi frakami. Słusznie... byłoby jednak jeszcze słuszniej, gdyby ową służbę zmarłych zechciano rekrutować z pomiędzy ludzi, których fizyognomie mniej zdradzają, iż troski marnego żywota topią na dnie kieliszka. Zyskałaby na tem powaga smutnego obrządku i nieboszczyki nabyliby pewności, iż bez uszkodzeń dostaną się na miejsce ostatniego spoczynku. Dziś, ile razy jesteśmy przy eksperymencie wyprawiania ziemskiej powłoki ludzkiej na tamtą stronę Styksu, tyle razy żywymy obawę o całość powierzonego ręką nowożytnych Charonów pakunku. Oprócz tego należałoby choć zwolna przystąpić do reformy w kształcie wozów pogrzebowych, gdyż piętrowe nasze mary, któremi ostatnią odbywamy ku Powązkom podróz, pachną przed-

potopowym anachronizmem; nie są ani ładne, ani co więcej praktyczne, choćby mianowicie ze względu na warszawskie wyboiste bruki. Oscylacje, jakie na grzbiecie podobnego rydwanu wyprawia nieboszczyk, mogą mu być wprawdzie policzone jako tortura w rachunku przyszłych mąk, ale groźba posmiertnego piruetu, zbyt przykrem uczuciem przejmując żywych towarzyszy pogrzebu. Musimy bowiem objaśnić kogo należy, iż na całym świecie już używają się jako karawany powozy mniej więcej bogato udekorowane, ale niskie, mieszczące trumnę okrytą całunem i uwitą wieńcami kwiatów, tych symbolów czulej pamięci...

Moi panowie żałobnicy! pamiętajcie, że i kostium śmierci także ulega modzie...

Jedna z najpoważniejszych instytucyj w kraju naszym — Towarzystwo Kredytowe Ziemi, myśli o polepszeniu losu swych „białych murzynów"... myśli długo i głęboko i dopóty myśleć będzie, póki nie zapomni znowu i nie złoży projektu... *ad acta*, jak to już kilkakrotnie uczyniła. W najlepszym razie wymyśli... dostarczenie węgla po niższej cenie w czasie zimy.

Panowie! dosyć już tych myśli, my chcemy czynu!... Nauczcie się wreszcie cenić pracę tych, którzy, poświęcając wam całe swe siły duchowe, żyją w ciężkim niedostat-

ku, z liczną niekiedy rodziną. Pamiętajcie, że wasze myśli, projekty i... sesyjki nie nakarmią zgłodniałych...

Co figiel... to grosz!

Każda, najszlachetniejsza nawet myśl, musi być wyzyskana przez spekulantów.

Pewien wydawca warszawski postanowił oświecać i umoralniać nasz ludkę miejski za pośrednictwem tanich broszurek, niosących pożywne ziarna „kankanowych piosenek”.

Na początku ma być puszczone w obieg cały szereg bezmyślnych operetek, granych na scenach ogródkowych.

Ma to być tanie, popularne wydawnictwo, głównie dla nieoświeconej naszej klasy mieszczańskiej przeznaczone.

Kto wie, czy szanownego wydawcę nie zawiedzie jego groszożądna chęć oświecenia maluczkich, czy maluczcy zrozumieją i odczują filantropijne jego usiłowania!...

Do dzisiejszego numeru dla wszyst. prenum. dołącza się ark. Panteonu (Ziemia i jej mieszk.) tabelle ark. 6.

użyto ani jednego franka z metalicznego zasobu wewnątrz kraju. Czyż potrzeba mówić jak wielkiem to było dla społeczeństwa francuzkiego dobrodziejstwem, jak mocno zawiodło nadzieje niemców, rachujących na przesilenia finansowe francuzkie i zupełny upadek bogactwa tego kraju. Gdyby Francya posiadała jednometalową walutę, nigdy by nie mogła powyższego skutku osiągnąć, operacye jej bowiem byłyby ograniczone do tych rynków które się wyłącznie walutą złotą posługują, mianowicie do rynków angielskich. Wycofanie z tych rynków takiej masy złota na raz, byłoby nie możliwe i zmusiłoby Francję do użycia na cel kontrybucyi własnego zasobu złota, które odplynęłoby z kraju, zrzadzając olbrzymie przewroty w jej handlu. Ale nie tylko w samej Francji lecz i w handlu całego świata, gdyż naruszoną by została równowaga i złoto podniosłoby się w cenie na tych rynkach, któreby odplyw jego wstrzymać chciały. Całą przewyżkę kursu musiałaby zapłacić Francya, albo też odłożyć wypłaty na dalsze terminy, to jest utrzymać postój obcego wojska na swym koszcie i w swych granicach, prusacy bowiem z Belfortu nie prędzej mieli ustąpić, aż po spłaceniu kontrybucyi. Tymczasem Francya nie wydała ani grosza na agio, gdyż miała otwarte wszystkie rynki, posługujące się walutą srebrną i znaczna część kontrybucyi została spłaconą zasobami Francji, lokowanymi na tych srebrno-walutowych targach. To co Niemcy były winny Francji za jej towary, produkta i walory to wypłaciły sobie na rachunek kontrybucyi w srebrze i skutkiem tego równowaga złota w całym świecie nie została naruszoną, mimo tak olbrzymiej operacyi, dokonanej w tak krótkim czasie, jaką była wypłata kontrybucyi francuzkiej. Francya wielkiej przenikliwości Ludwika Wołowskiego zawdzięcza kwitnący stan swój, a jeżeli zasługi znakomitego naszego ziomka nie będą uczozone pomnikiem w stolicy Francji, to okaże się nie pierwszy raz wartość przysłowia: iż nie bierze zasłużony ale szczęśliwy.

Jakby dla zillustrowania faktami kwestyi monetarnej, przyszły skutki gwałtownej przemiany dwumetalicznej w jednometaliczną walutę w Niemczech. Ciągłe słyszymy o zubożeniu tego kraju przez wojnę, mimo wyzyskanych na Francji miliardach, ciągle słyszymy o kryzysie finansowo-handlowym w Niemczech, tak że dobrze jest zdać sobie sprawę, co było tego wszystkiego przyczyną. Nic innego jak tylko nie trafne zejście z dwu na jednometalową walutę. Niemcy ulegając czysto teoretycznym poglądom, w perspektywie francuzkich miliardów, odważyły się stopę monetarną ustanowić tylko w złocie. Lecz zasób złota własny był szczupły, gdyż Niemcy przeważnie posługiwały się od wieków srebrem; napływ złota z kontrybucyi niedostateczny, trzeba się więc było udać na rynki za kupnem złota. Operacya ta spowodowała odplyw złota z Anglii tak gwałtowny, iż o małe nie naraziła na katastrofę, a w każdym razie szybko podniosła tam cenę złota, którą to przewyżkę zapłacili niemcy. Dziś zasób złota w Niemczech nie jest jeszcze dostateczny, operacye handlowe cierpią, stosunki Niemiec z targami o walucie srebrnej zmalały, wszędzie panuje w Germanii brak „pieniędzy” — jako naturalne następstwo fałszywie postawionego kroku.

Po takich przykładach rzucających nadzwyczaj doniosłe światło na kwestyę monetarną, zebrał się obecny kongres w Paryżu. Jak powiedzieliśmy, wywołała go Ameryka północna i ku wielkiemu zgorzeniu teoretyków, wystąpiła tym razem w charakterze zwolenniczki dwumetalowej waluty, chociaż dawniej głosiła stale za złotem. Ten zwrot północnej Rzeczypospolitej wywołał

podejrzenia, iż cała sprawa obecnego kongresu ukartowaną została przez posiadaczy kopalni srebrodajnych, którzy supremacyą złota jako waluty zagrożeni zostali. Gdyby nawet tak było, to fakt ten drobniauchnie miałby znaczenie, w obec tego cośmy powyżej o podwójności waluty powiedzieli. Stany jednak Zjednoczone obok ogólnych przyczyn, mogły mieć i ten jeszcze wzgląd, iż handel ich czyni niejakię postępy w stosunkach z narodami azyatyckimi, które się posługują walutą srebrną; zaprowadzenie więc u siebie waluty ułatwia te stosunki. Ten wzgląd jest o tyle ważnym, że powinien i nas umieścić w rzędzie zwolenników dwumetalicznej waluty; chociaż bowiem w obecnej chwili o obrotach w walucie metalicznej mowy być nie może, to jednak stosunki nasze z Azyą centralną, oraz ta okoliczność, iż zasób srebra u nas w każdym razie jest większy niż złota, wskazują nam interes w utrzymaniu dwumetalicznej waluty.

Zdaje się iż mimo niefortunnego kroku Niemiec i zdania Anglii, która za walutą złotą głosi, tegoroczny kongres oświadczy się za utrzymaniem w praktyce dwumetalicznej waluty. Szkopułem tylko o który się kwestya rozbiła, jest stosunek w jakim jedna waluta do drugiej ma być utrzymana. Że stosunek ten raz na zawsze nie może być oznaczony stale, to z praw ekonomiki i z praktyki dostatecznie jest jasnym. Nawet w tej chwili na horyzoncie kwestyi, zarysowuje się pewna niezgoda państw obradujących, co do różnego oznaczenia stosunkowej wartości srebra do złota. Kiedy bowiem związek tak zwanych państw łacińskich (Francya, Belgia, Włochy, Austrya i t. d.) za zasadę przyjmuje stosunek 15,5 do 1, to Ameryka świeżem rozporządzeniem przyjęła go 16 do 1 i jest bardzo niepewnem, czy się na stosowną zmianę zgodzi. Niewątpliwie jest to ciemny punkt kwestyi lecz trzeba będzie tę sprawę zostawić praktyce pod ogólne prawa popytu. Jeżeli przypuścimy, że jakakolwiek waluta: srebrna czy złota okaże się w operacyach korzystniejszą, to popyt o nią na zwykłych prawach ekonomicznych zwiększy jej cenę i równowagę w stosunku przywróci. O przymusowym kursie srebra mowy być nie może; skoro więc amerykanie przekonają się że ustanowiony przez nich idealnie stosunek 16 do 1 jest za wysoki, będą musieli zejść do właściwego stosunku obu metali, popytem i podażą regulowanego. Kwestya zaś wypłaty długu amerykańskiego złotą lub srebrną walutą, jest czysto wewnętrzną i nie może mieć na ogólne stosunki żadnego wpływu.

Oto, jak się przedstawiają sprawy waluty na kongresie paryżkim poruszone; przedstawiliśmy je w najogólniejszych zarysach, aby szczegółami i cyframi nie obciążać uwagi niespecyalnych czytelników. Przedstawiliśmy je przecież w pełni obustronnie oświetlających kwestyę przekonania, oraz wskazaliśmy punkt, z którego nasze społeczeństwo na tę sprawę zapatrywać by się powinno. Zdaje nam się że jest to koniecznym, nie uważamy bowiem za pożyteczne naśladować naszych publicystów, którzy już to skutkiem małej naukowej samoistności, już też lenistwa, poprzestają na powtarzaniu sądów i mniemań zaczerpniętych gotowo z pierwszego lepszego dziennika zagranicznego, jaki im w ręce wpadnie. Jest to fatalnem, iż mało który z naszych organów zastanawia się, dla czego ten lub inny dziennik zagraniczny takie a nie inne daje oświetlenie rozbieżnemu przedmiotowi, co też powoduje piórem zagranicznego autora i czy poglądy które od obcych żywcem przyswajamy w kwestyach polityki, ekonomii, finansów są zgodne z interesami naszego kraju i społeczeństwa. Papuzie powtarza-

nie mniemań zagranicy, częstokroć stronnością lub widokami interesu powodowanej, obalamuca naszą i tak niezbyt wytrawną opinię publiczną, a jest tym szkodliwsze im się kryje pod płaszczyk większej powagi, lub otacza rozgłosem rzekomych postępowych idei. Dla tego też dziwią nas, a ponieważ śmieszają pioruny, jakie w pewnym piśmie rzucono na zacofanych zwolenników dwumetalowej waluty, ferwor z jakim występowano za złotem i oskarżenia miotane przeciwko amerykańskiemu właścicielowi kopalni srebrodajnych. Jest to śmieszne, bo filipikom poczerpniętym bez krytyki z jakiegoś interesowanego dziennika, dano fałszywy adres do naszego społeczeństwa. Tym czasem naszym interesem, jeśli o tym interesie na teraz może być mowa w praktyce, jest wiedzieć całą prawdę w tej sprawie: stać przy dwumetaliczności waluty, jako ochraniającej i ten skromny zasób metalu, który w rękach naszego biednego ogółu się znajduje.

KONGRES LEŚNY.

II. Znaczenie podziałów leśnych.

Utrzymywanie lasów wymaga ciągłego dozoru nad ich całością. Na dużych obszarach leśnych takie dozоровanie jest dosyć utrudniającem; obchody i objazdy prowadzone są nie tak często, jak tego zachodzi potrzeba, co poniekąd osłabia kontrolę i niedostatecznie lasy zabezpiecza. Dla tego też korzystnym jest podział lasu w znaczeniu administracyjnym na części, czyli tak zwane gospodarstwa leśne. Te podziały, inaczej klasami, blokami albo jednostkami gospodarczymi nazywane, lub wreszcie poprostu gospodarstwami, są bardzo wygodne, bo dają możność czuwania nad każdą oddzielnie i prowadzenia robót szczegółowych w każdej z uwzględnieniem warunków ekonomicznych i tym sposobem ułatwiają utrzymanie rozległego gospodarstwa leśnego. Oprócz tego, podział częściowy pozwala uskutecznić kolejną porębę w różnych miejscowościach. Jest to szczególnie dogodne dla okolicznych nabywców, którzy mogą w takim razie kupować drzewo w tych gospodarstwach, z których dostawa byłaby bliższą lub dogodniejszą i tańszą; przy wyrębach dokonywanych ciągle w jednej miejscowości lasu, kupcy muszą nieraz kawał drogi nakładać, aby przybyć na miejsce sprzedaży. Z drugiej strony kolejna poręba nie czyni takich rozległych trzebieży i tym sposobem daje możność prędszego zagajenia miejsc wyciętych. Nakoniec niewielkie cząstki lasu pozwalają strażyleśnej części odbywać objazdy i czujniej strzedz całości.

Kwestya odpowiedniego podziału lasów była już rozbieżną w r. 1863 przez organizatorów nowej instrukcyi taksacyjnej; ale w zastosowanie wprowadzoną nie została. Na teraźniejszym kongresie podniósł ją znowu p. B. Pawłowicz. Wnioskodawca radził dzielenie lasów na części i części na podziały, czyli zasięki, dla ułatwienia szczegółowego nadzoru i hodowania drzewa, utrzymując, że „przy urządzeniu wielkich obszarów lasu, jedynie tylko za pomocą podziału na części można w nich prowadzić roboty sposobem ekonomicznym, starannie i szczegółowo, a głównie tam, gdzie zbyt jest łatwiejszy, a tem samem łatwiej prowadzić więcej skomplikowane gospodarstwo. Taki podział obszarów pozwala czasowo pozostawić odłogiem niektóre ich części zbyt trudne do eksploatacyi, co obecnie jest niemożliwe, z powodu, że jednako wymiarom i tak się podlegają wszystkie lasy bez względu na rozległość ich, co zużywa wiele sił i czasu”.

Z dyskusyj, jakie przeprowadzone były nad wnioskami p. Pawłowicza, dowiedzieliśmy się, że podobne dzielenie lasów istnieje w wielu miejscowościach za granicą i w Cesarstwie. Wnioski oddane pod ostateczne głosowanie napotkały niejaką opozycję, zostały jednak zatwierdzone znaczną większością głosów. Kongres po dwugodzinnych nad przedmiotem podziałów rozprawach, doszedł do następujących wyników: a) zalecić taksatorom leśnym dzielenie lasów na jednostki gospodarcze, o ile to będzie zależnem od taksatorów; b) umieścić w instrukcyi leśnej wskazówki o podziale lasów na jednostki gospodarcze.

Wnioskodawcę popierał p. Arnhold dyrektor akademii Petrowsko-Razumowskiej.

MUZEUM HISTORYCZNE NA TROCADERO.

I.

Pomysł niewątpliwie szczęśliwy i imponujący w wykonaniu: postawić u wstępu świątyni sztuk i przemysłu tegoczesnego, muzeum historyczne któreby unaocznilo wszystkie początki i cały rozwój, jaki kultura przebiegała nim doszła dzisiejszego rozkwitu. Od krzemienego topora z przypadkowo znalezionej ułamku kamienia, którym nasz praojciec ciosał drzewo, do tych maszyn wykrawających w jednej chwili najprzeróżniejsze części wykłintnych mebli, od szklanych flaszeczek o powierzchni zmatowanej wiekowem działaniem powietrza, do wytwornych kryształów z Baccarat, od tych złotych drucików skręconych grubo, jakimi pierwotnie piękności stroiły swe ramiona, uszy a prawdopodobnie na sposób dzikich i nosy, do dzisiejszych wyrobów francuskiej jubilerszczyzny — jakąż przestrzeń przebiegły przemysł i sztuka. Ukazać tę drogę poglądowo, jest to lepiej wytłómaczyć historię kultury i dzieje ludzkie, niż całym szeregiem drobiazgowo opisanych bitew lub długim poczem panujących i zdobywców. Jakież uczucie rodzi w nas ten widok, jakież myśli powstają pod tem wrażeniem, co za porównania z tego zestawienia dzieciństwa ludzkości z wynikami pracy, jakie dziś osiągnęła. Staje się to naoczną prawdą iż z politycznej potęgi Cyrusów, Aleksandrów i Cezarów nie nie zostało, ale praca w ich epoce przez nieznaną dokonywana, posunęła ludzkość o krok dalej i my owoce tego powolnego bo ciężkiego trudu, dziś jeszcze w skutkach spożywamy. Nowe i dzikie ludy, które stratały pod kopytami swych rumaków potęgę zachodnich i wschodnich mocarzy, nie zdołały w zupełności zniszczyć przemysłowego uzdolnienia, pociągu do sztuki i zagasić światła starożytnych narodów. Przyjęły raczej dawną kulturę i stały się podścieliskiem nowego, w dalszym ciągu tak płodnego życia.

Taką zdaje się była zarodkowa myśl p. Longperrier, głównego inicjatora wystawy historycznej na Trocadero: przedłożyć naocześnie zwiedzającej publiczności kilka kart dziejów wstępnych z historii przemysłu i sztuki do dzieła, które na placu Marsowym cała ludzkość, z wyjątkiem Niemców, wystawiła.

Czemuz jednak pomysł, niewątpliwie znakomity lubo nienowy, zwichnięty został ciasnym poglądem kolekcjonisty! Ponieważ do przeprowadzenia podobnego muzeum historycznego w całej obszerności, trzeba było dokładnego planu, a którego wypełnienie wymagało olbrzymiej pracy i dłuższego czasu, dyrekcyja przeto krzywiąc myśl pierwotną puściła ją na dowolność prywatnych kolekcjonistów, których zbiory jedynie miały dostarczyć materiału do muzeum na Tro-

cadereo. Wyszła dyrekcyja z tej zasady: iż wielkie zbiory Louvru, Monachium, Drezna, Neapolu, Rzymu dostępne dla ogółu publiczności, spełniają całkowicie postawione wyżej zadanie, muzeum zaś na Trocadero należy pozostawić wystawie prywatnych kolekcjonistów, których zbiory rozrzucone, nie są tak łatwo do przeniknięcia dla oka powszechności.

Nie trudno pojąć co stąd wynikło: ułamkowość, każdy bowiem z szanownych kolekcjonistów dbał tylko o swą specjalność, ale mało się troszczył jak z tego wyjdzie całość wystawy, czy uwidoczni się ta logiczna linia dziejowa, ocharakteryzująca wybitnie i pojedyncze epoki i wiążąca się w jedność ogólną. Każdy dawał na co go stać było i stroił swą szafę w to, co miał najlepszego; ale przecież mimo to powstały olbrzymie i niczem nienagrodzone luki. Czyż podobna naprzykład zrozumieć postęp ludzki bez reprezentacyi tego co nam po Egipcjanach, Grekach i Rzymianach zostało? Tylko takie muzeum jak Neapolitańskie, jest w stanie zamarłą Italję wytłómaczyć. Czy rozkwit sztuk rzemieślniczych w średnich wiekach, jest jasny bez Cimabuego, Fra Fiesso, Lucca de la Robia i to w ich szczytowych dziełach? Niemożna mówić że należą oni tylko do malarstwa; o skromni członkowie cechów rzemieślniczo-malarskich, byli praojcami smaku, stylu w tem wszystkim, co mniejszy lub większy miało stosunek ze sztuką. Istnieje ścisły związek między figurą wykutą z marmuru, wyrzynaną z drzewa, wyszytą na ornacie lub makacie, a namalowaną na cyprysowej desce przez którego z mistrzów owej epoki.

Owóż muzeum na Trocadero brak tej całości; pominięto tam rzeczy istotnie ważne, zasadnicze dla fraszek i ciekawostek, które wprawdzie rzadko się zdarza oglądać, ale nie stanowią też istoty rzeczy. Mimo to wszystko zbiór Trocadera, jest jednym z najoryginalniejszych zjawisk na wystawie Paryskiej, a rozejrzenie się w jego bogactwie, zarówno najprzyjemniejszym jak i najtrudniejszym zajęciem. Przemaga bowiem najwytrwalszą uwagę, mnogością szczegółów i szczegółów. Wielkie katastrofy społeczne jakim uległ zachód i środek Europy, przewracając całe warstwy narodowe, zmuszając tych co stali u szczytu do zstąpienia w głębinę, rozrzuciły całe bogactwa archeologiczne dawnych opactw, klasztorów, zamków po rękach prywatnych kolekcjonistów, którzy z wielkim mozołem i za grube pieniądze kompletują wytrwale swe zbiory. Czegoż więc tam nie ma?! I ileż tam jest drobiazgów, które specjalność pragnie podnieść do godności rzeczy ważnych. Odróżnić to, rozsegregować — przy braku katalogu — móż i praca ciężka.

Muzeum rozpoczyna się z pierwszą epoką człowieczeństwa, ale nosi na sobie specjalny charakter miejsca gdzie się znajduje; i tu widać przewagę Francji, która wprawdzie udziela innym gościnności, ale pamięta co się gospodynii należy. Sala pierwsza jest właściwie zbiorem rzeczy gallo-rzymskich czasów i ma to do siebie że pełniejsza niż inne, że rzuca jaśniejsze światło na owe prastare epoki, gdy człowiek na pierwszym stopniu swego wykształcenia mieszkał w jaskiniach, podziemiach lub dla bezpieczeństwa w budowach nawodnych, odziewał się skórą dzikich zwierząt z którymi wiódł walkę kamiennym toporem, dzidą lub strzałą w krzemienne groty zaopatrzonemi. Jak wiadomo, archeologia przedhistoryczna ogromne poczyniła postępy; od czasu Edwarda Larteta, od lat dwudziestu kilku dokonano niezmiernego przewrotu w tej gałęzi nauki, skutkiem olbrzymich prac i wielkiej cierpliwości w poszukiwaniach. To co niegdyś badacz obojętnie potraçał nogą, dziś okazało się przedmiotem najgodniejszym pilnego

rozpatrzenia, przemówiło słowami rozwiązującymi tysiące wątpliwości i zagadek. Niekształtny kawałek krzemienia, zaledwie wysiłkiem imaginacyi dający się porównać z któremkolwiek z naszych domowych narzędzi lub części uzbrojenia, okazał się istotnie jedyną bronią w rękach naszych przedhistorycznych praojców. A i w tym względzie jakież mozolny i długi przebieg ciągłych udoskonaleń. Najprzód był to kamień pierwszy lepszy jaki się popadł na drodze; później wybierano kamień którego kształt odpowiadałby lepiej przeznaczeniu narzędzia; dalej nadawać poczęto kamieniowi kształt żądany przez otłukiwanie o inne kamienie twardsze; zrobiono odkrycie iż ku temu celowi najlepiej nadaje się krzemień, łupliwy w pewnych kierunkach. Przygotowanie takiego krzemienia i nadanie mu stosownego kształtu było dziełem pierwszego rzemieślnika. Poczęła się tworzyć specjalność, zapewniony został postęp. Kwestyi nie ulega, iż w miejscach gdzie znajdowano krzemień w obfitości, osiadali specjaliści rzemieślnicy i zajmują się wyrobem narzędzi i broni krzemiennej, prowadzili niemi handel. Świadczą o tem tak zwane stacye krzemienne pełne pozostałości od wyrobionych, lub też nawet na pół wykończonych narzędzi. Z czasem nauczone się nie tylko nadawać wytworne kształty wyrobom krzemieniem, ale je nawet polerować, czyniąc pięknymi i dogodnymi w użyciu. Wszystkie te studia jakie ludzkość przeszła w tym względzie, mamy uzmysłowane w zbiorach na Trocadero. Począwszy od niekształtnych młotów aż do maleńkich grocików i strzał, prawdziwych arcydzieł sztuki krzemiennej, wszystkie stopnie i wszystkie rodzaje narzędzi są reprezentowane: młoty, siekiery, dzidy, groty, noże, skrobaczki i t. d. zebrane w wielkiej obfitości i różnorodności kształtów. Dla pospolitego jednak widza najciekawszą może jest kolekcya p. Reboux, narzędzi kamiennych zrestaurowanych, to jest przywróconych do tej postaci, jaką prawdopodobnie miały w rękach naszych przodków. Młotom dodano rękojeście, dzidom brzeszota, strzałom rzutnie, nożom trzony, toporom ujęcia, łącząc je z krzemieniem rzemieniami surowymi ze skóry dzikich zwierząt. Tym sposobem widz nabiera dokładnego wyobrażenia o metodzie zastosowania i użycia tych pierwotnych narzędzi. Byłoby rzeczą pożądaną, aby w każdym zbiorze publiczności ukazywanym, naśladowano metodę p. Reboux, gdyż same okrucy przedstawione tak jak wyjęte zostały z ziemi, mogą przemawiać wyraźnym językiem tylko do archeologów, ale nie do zwykłych profanów.

Za nim jeszcze człowiek poczuł swą nagłość i postarał się okryć swe ciało futrem rena lub niedźwiedzia jaskiniowego, już w nim obudziła się chęć ku ozdobie swej postaci. Jednocześnie z najprostszymi narzędziami krzemieniami spotykamy wyroby z kości do ozdoby. Kolekcya Du Piette zapoznaje nas z wyrobami rogowemi, a kolekcya z wyobrazeniami zwierząt z Lortet świadczy o pierwocinach rysunku. Powstają więc i sztuki. Jak długo trwał w swej prostocie świat krzemienia? Niewątpliwie bardzo długo, a nawet zaszedł dobrze w następne peryody brązu i żelaza. Postęp nie kroczy ani równo ani prędko. Tak było i tak jest. Jeżeli w jednych miejscowościach używają wydoskonalonej zniwiarki Mac-Cormicka, w innych najpierwotniejszego sierpu. Chociaż ludzkość doszła już do znajomości brązu, a nawet do umiejętności wytapiania żelaza, różne narody lub nawet różne warstwy jednego narodu posługiwały się jeszcze długo krzemieniem. Ztąd epoki przechodzą jedna w drugą bardzo nieznacznie, stopniowo. Wojenne narzędzia i przybory brązo-we niezawodnie wykonywano na wzór pierwotnych krzemiennych, lecz jako z mate-

ryału łatwiejszego do obróbienia, wkrótce zostały wydoskonalone. Bronz stanowił główny materiał w epoce rzymskiej, a kultura rzymska zaniesiona z orłami legionów Cezarowych, przyspieszyła bieg kultury galijskiej. Niewątpliwie tego ślady przedstawia wystawa na Trocadero. Gall przybrał się w strój rzymskiego rycerza, okrył zbroją, zasłonił puklerzem, walczył krótkim mieczem. Prześliczny jest zbiór hełmów p. Rayeta, a zarówno archeolodzy jak malarze i rzeźbiarze mają tu pole do pilnych studyów. Ale najciekawszym z tej epoki jest cały grób rycerza, przeniesiony tak, jak został przez p. Edwarda Foudrignier znalezionym. Wojownik pochowany jest w postawie siedzącej na swym bojowym wozie, uzbrojony i ustrojony w najkosztowniejsze swe szaty. Dziś jeszcze widać koła, części zbroi, bransolety złote, które kładł wyżej łokcia na rękę. Wogóle bardzo wcześnie złoto rozróżniono jako metal szlachetny i użyto na ozdoby, ku czemu nadawała się jego miękkość. Począwszy od prostych kolców aż do bardziej złożonych wyrobów ze złota, znajdujemy tu różne stopnie męskich i żeńskich upiększeń. Markiz Vibray przedstawił nie mało pięknych bransoletek, znalezionych w Bayoux (Douet) a odznaczających się zgrabnym i delikatnym wyrobem, świadczącym iż płeć piękna ongi jak i dziś żywiła zamilowanie w sztucznie wyrobionych błyskotkach. Lecz najbogatszy zbiór wyrobów złotych wystawiła ojczyzna Arpada — Węgry. Czyją własnością istotnie są te zabytki — madziarów czy słowian, lub ludów przed nimi jeszcze w Panonii bytujących? Niewątpliwie archeologia starać się będzie wysłedzić to i zagadkę rozwiązać. Dziś jeszcze w tej kwestyi ciemno, to tylko się pewnym wydaje, iż koczujące hordy dzikich madziarów, które przed tysiącem lat zniszczyły zachodnią słowiańszczyznę, nie miały dość pierwiastków kulturowych, aby się zdobyć na podobne dzieło kunsztu. Mogło więc być tylko łupem wojennym na obcych.

Nie zapomniano o szczątkach gospodarstwa domowego i wystawiono skorupy z czasów odpowiadających gallo-rzymskim, aż do wykwintnych naczyń etruskich, które obejmuje zbiór p. Paraway w pięknych nader egzemplarzach. Szkło, to jest flaszeczki ze szkła różnych kształtów, stanowią przedmiot prawdziwej ciekawości; czas i działanie powietrza zmatowały ich powierzchnię i pokryły warstwą drobnych kryształków, które mają własność rozszczepiania światła na kolory. Sztuka nie ma sposobu naśladowania tego wytworu starożytności. Całą kolekcję tego rodzaju flaszeczek wystawiła ks. Marcelowa Czartoryska, a mniejszy zbiór posiadają pp. Morelle i Bellom.

Idąc za niektórymi wątpliwej wartości okazami, jak np. monety gallickie, oraz pomiędzy wyrobami późniejszych epok, jak popiersia greckie (kolekcya Lumyer i Działyńskiej), okaz złoty z Pestum (p. Janikowskiego), kolekcya przedmiotów z Bitynii (Carapanos), wkraczamy nieznacznie do drugiej sali wypełnionej rzymskimi i greckimi zabytkami. Odskok to wielki od prostoty topora krzemienego, lub pierścienia jaki zatykała przez nos dzika piękność, celem przypodobania się jeszcze dzikszemu barbarzyńcy. Z tem wszystkiem jednak, cały ten zbiór grecko-rzymski na Trocadero nie zasługiwałby na żadną wzmiankę, tak on ubożuchny w stosunku do materiału, jaki pozostawiła starożytność, gdyby nie figurki z Tanagry, których rozgłos obiegł świat cały.

Tanagra.... Tanagra — co to jest? Jest to mała osada w tej części dawnej Grecyi której stolicę stanowiły Teby, kąt nigdy nie słynący u starożytnych rozumem i sztuką, chociaż stąd pochodzili Hezyod, Pindar,

Korynna i Epaminondas. Figurki w znacznej bardzo liczbie odkryto przed dwoma miesiącami, a świetny stan w jakim je znaleziono, oraz sztuka z jaką były wykonane, od razu zjednały temu odkryciu wszechświatową sławę. Okazują one w sposób najdociępszy i pełen wesołości jowialnej, domowe życie świata greckiego. Mianowicie kobieta i dziecię w różnych pozach, już to obnażone, już zakwiecone, już grające na fletni, już igrające z ptastwem, odsłaniają swe łube, pełne wdzięku i prostoty postacie. Mamy nadzieję, że którekolwiek z pism ilustrowanych zapozna nas z tym szeregiem drobnouchnych, z gliny wykonanych arcydzieł, gdyż opisywać je bez rysunku, jest to chcieć malować słowami dźwięki.

Zabójstwo Generała Mezencowa.

W obecnej chwili uwaga całego społeczeństwa rossyjskiego i Rządu zwrócona jest na uderzający fakt, jaki się zdarzył w dniu 4 (16) bieżącego miesiąca.

Jakkolwiek nie znani są jeszcze sprawcy tego czynu, ogólna jednak opinia utrzymuje, że spełnione zabójstwo ma charakter polityczny. Są nawet tacy, którzy mniemają, jakoby fakt ten pozostawał w związku z ostatnimi zdarzeniami, jakie miały miejsce w Odessie.

Zamachy na życie w celach politycznych zdarzały się w Rosyi, zwłaszcza ostatnimi czasy, bardzo często; jeżeli jednak Rząd nie przedsiębrał dotąd, w celu zapobieżenia tego rodzaju objawom, żadnych wyjątkowych środków, to prawdopodobnie dla tego, że zamachy owe były tylko czczeni i bezowocnymi pokuszeniami się na życie i nie osiągały nigdy skutku. Ostatnia jednak katastrofa, której uległ generał-adjutant Mezencow, o wiele się różni od poprzednich; straszne jej rezultaty zmieniły zapewne dotychczasowe zapatrywania się Rządu na tego rodzaju sprawy i spowodowały przedsięwzięcie pewnych wyjątkowych środków.

Takim wyjątkowym środkiem jest niedawno wydane prawo, na mocy którego wszystkie sprawy znaczenia politycznego należą do wojennych sądów polowych. Wydanie prawa było wywołane przez to, że „ciągle objawy niezwykłych zamachów na życie osób sprawujących obowiązki urzędowe, spowodowaływa niezwłoczne użycie środków odpowiednich, któreby pozwalały na prędkie i surowe wymierzanie kar za podobne nadużycia“.

Sprawcy czynu nie są dziś jeszcze ujęci; niewiadome nam są także powody, jakie popchnęły ich do występku, nie można więc nie stanowczego wyrzec w tej kwestyi. Nie chcąc zaś ogólnikowo tylko wspominać o wypadku, ograniczymy się na opisanie samego faktu zabójstwa.

Generał-adjutant N. W. Mezencow miał zwyczaj odbywania spaceru odczennie między godziną 8 i 9, najczęściej sam jeden. Zwykle wychodził na nadbrzeżną ulicę rzeki Fontanki i szedł tędy aż do Symeonowskiego mostu, następnie przeszedłszy przez most zwracał się w ulicę Karawanną, dalej koło Maneżu Michajłowskiego dążył przez ulicę Italiańską na plac Michajłowski. Potem powracał przez most Łańcuchowy (Ciepnoj) lub tąż samą drogą. Z tego zwyczaju generała Mezencowa skorzystali zabójcy.

Dnia 4-go (16) Sierpnia rano, około godziny dziewiątej, N. W. Mezencow według zwyczaju, wyszedł na spacer w towarzystwie byłego pułkownika Makarowa, który razem z generałem odbywał krymską kampanię. N. W. Mezencow szedł obok pułkownika M., mając go po prawej stronie.

Dochodząc do rogu placu Michajłowskiego i ulicy Italiańskiej, zauważyli oni obaj jakichś dwóch ludzi cywilnie ubranych, stojących koło domu cukiernika Koczkurowa, którzy za zbliżeniem się generała Mezencowa i pułkownika Makarowa cofnęli się na plac za róg ulicy. Naturalnie, że temu drobnemu faktowi nie przypisywano żadnego znaczenia. Rozmawiający szli dalej, zaledwie jednak doszli do rogu, młody człowiek, jeden właśnie z owych dwóch zaczajonych, bardzo przyzwoicie ubrany, w szarem palcie i w okularach, wyszedłszy z za rogu ulicy, zbliżył się szybko do generała i zadał mu sztyletem silne pchnięcie w brzuch. Pułkownik Makarow widząc co się dzieje, rzucił się w pogoń za przestępcą, wołając „trzymaj!“ i machając parasolem uderzył nawet zabójcę w plecy mimowolnie. Jednocześnie drugi młody człowiek, również przyzwoicie ubrany, w długim palcie ciemnoniebieskiego koloru i czarnym, okrągłym kapeluszu kastorowym, z czarnymi wąsami, strzelił do pułkownika Makarowa z rewolweru. Kula przeleciała koło samej głowy pułkownika, wcale go nie dotknawszy. Młodzi ludzie, korzystając z nieludności ulicy Italiańskiej, cofali się ciągle ku końcowi ulicy i wsiedli do przygotowanej umyślnie dorożki. Powożący kuczer był to młody człowiek, brunet z czarnymi wąsami, bez brody; do dorożki zaprzężony był dziarski koń karej maści. Siadłszy do dorożki, młodzi ludzie szybko odjechali w Małą Sadową ulicę i wkrótce znikli. Pułkownik Makarow, krzyczący ciągle o pomoc, widząc że to się na nic nie zda, wrócił nazad. Tymczasem generał-adjutant Mezencow będąc ranionym, nie stracił wcale przytomności i na pytanie przestraszonych subjektów cukiernika Koczkurowa „kogo raniono?“ odpowiedział, że on jest ranionym i wskazał jednocześnie na zakrwawione ubranie.

Przy pomocy pułkownika Makarowa i szambelana Bodisko, który przybył z sąsiedniego domu, generał-adjutant Mezencow doszedł do rogu Małej Sadowej ulicy i tam wsiał do dorożki razem z pułkownikiem. Po przybyciu do domu pułkownik Makarow zapytał generała Mezencowa: „Jak się czujesz?“ — „Je suis un homme fini“ odrzekł na to generał. Opierając się na ramieniu pułkownika Makarowa i szwajcara domu, generał adjutant Mezencow zeszedł z dorożki, udał się do przedpokoju i zaczął sam rozpinąć paltó; gdy jednak szwajcar chciał go wpół podtrzymać, generał nie pozwolił mówiąc, że w tem miejscu właśnie największy ból czuje. Wtenczas szwajcar wziął go pod rękę i wtedy dopiero generał Mezencow zdjął z siebie paltó. Na troskliwe zaś pytanie szwajcara: „Co Panu się stało, panie generale?“ generał Mezencow odpowiedział: „wszystko skończone! umierać trzeba!“ Na schody generał wszedł z wielkim trudem, chociaż mu pomagali szwajcar i pułkownik Makarow. Niezwłocznie potem przyzwani lekarze odosobnili chorego generała dopuszczając do jego łózka tylko brata i szambelana dworu. W czasie wizyty doktorów, generał Mezencow prosił, aby mu wręcz powiedziano położenie rzeczy i nie skrywano bynajmniej nawet okropnej prawdy. Pomimo pocieszających słów lekarzy i wyrażonej nadziei szybkiego wyzdrowienia, generał okazywał pewne powątpiewanie a nawet powiedział, że czuje się blizkim śmierci. Rana rzeczywiście była straszną i niebezpieczną; przy dokonanymsz rozbiórce trupa po śmierci okazało się, że pchnięcie było silne i zadane ręką chłodną, z wyrachowaniem. W czasie katastrofy generał-adjutant Mezencow miał na sobie zwyczajny płaszcz opięty zupełnie, znajdujący się pod tem surdut o dwóch rzędach guzików był także zapięty; pod tem była jeszcze kamizelka i następnie bielizna. Ca-

